
AS
Nr. 52

WITOLD ZECHENTER

GDY PIERWSZA GWIAZDA...

Gdy pierwsza gwiazda... O słowa, słowa!
jakiż dziś macie zaklęty rytm!
któż was na serca dnie tak pochował,
że powracacie naprzekór dziś?

Że znowu wasza szata kolendna
stronicą z bajki wyrwaną jest,
a szara droga w wykrotach błędna
w płomiennych legend wykwita treść?

Choinki światła pachną żywicą
jak te z zgubionych dzieciństwa dni —
tęsknota, smutek, gorycz i litość
w uśmiechu srebrne zastygła skry.

Gdy pierwsza gwiazda... Podejdź do okna!
może ją ujrzysz przez niechęć chmur!
a może szyba śniegiem wilgotna
łzie zawstydzonej odpłacze w wtór?...

GWIAZDKI NRU 52:

GWIAZDKA



1938 R.

Życzenia „Wesołych Świąt"
śle wszystkim Czytelnikom
i Sympatykom „Asa"
Redakcja.

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

Nr. 52
Niedziela
25. XII. 1938
ROK IV

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Gwiazdy
Z MGŁAWICY ANDROMEDY

TEKST J. M. BRZESKI
ILUSTRACJE J. J. GRANDVILLE
(Z teki p. t. „Gwiazdy")

Zbliżały się wieczorne chłody. Włoskie niebo, wciąż błękitne, nabierało zwolna odcieni zielonkawego turkusu.

Podczas dni, w upalne jeszcze południa wieże florenckie drżały w roztopionem powietrzu. Wieczorem jednak — wstawały mgły z nad Arno i przybierając kształty Savonarolli — krążyły nad miastem.

Zima była już bliska.

Któregoś dnia siedziałem na marmurowych stopniach przy Piazza Santa Maria Novella. Wpatrywałem się w pusty plac. Oczy me pełne były prostopadłych, ostrych promieni słońca, które nieraz już w tem mieście rozpaliły pożary.

Naprzeciw — u stóp kościoła — spostrzegłem samotnego człowieka w czarnym, wciętym żakiecie. Dość dziwne wrażenie sprawiała jego żywa sylwetka na tle nieruchomości placu. Nie wiem dlaczego, ale ta mała i odległa postać — wprowadziła w otoczenie jakiś niezrozumiały niepokój, który i mnie także się udzielił.

Nieznajomy chwilę spacerował u wejścia do kościoła — poczem skierował kroki w moją stronę. Podszedł do podcieni, u stóp których siedziałem, i kiedy mnie mijał — przystanął. Jakby się zawahał, poczem zdjął kapelusz i ukłonił się z uśmiechem. Pomyślałem:

— Taki pan à la „fin de siecle"...

Odkłoniłem się czarnemu panu. Jego szczupła sylwetka, pełne elegancji ruchy i opanowanie — wywarły na mnie jak najlepsze wrażenie. Twarz przechodnia była szczupła, o ostrych rysach. Łagodne oczy — o pięknej niebieskiej barwie — uśmiechały się.

Poza tym uśmiechem jednak — błyskały niepokojące iskierki. Podejrzenie, które się we mnie natychmiast zrodziło — nie miało może sensu, niemniej jednak opanowało mnie przeświadczenie, że na dnie tych pięknych oczu czai się obłęd.

Szpiczasta bródka dodawała sylwetce wysmukłości. Gotycki pan; możnaby pomyśleć, że powieki zamykały się u niego pionowo...

Ten dziwny i tak niespodziewany o tej porze południowej — na pustym placu przybysz spoglądał na mnie przez chwilę — poczem powiedział:

— Pardon... czy to przypadkiem... no... ja pana chyba kiedyś poznałem! Kiedyż to było? — strzepnął palcami i spojrzał zaaferowany na czubki swych lakierów, poczem dodał — może pan mi pomoże — jestem Grandville...

Nazwiska takiego nie przypominałem sobie. Szukałem go nadaremnie w pamięci. Tymczasem nieznajomy mówił dalej.

— Nie wiem, czy pana to zainteresuje. Obecnie zajmuję się gwiazdami... No oczywiście nie naukowo. Nie jestem astronomem. Poprostu posiadam jakiś sentyment — a może nawet kontakt z odległymi światami. To co mówię, może się panu wydać dość dziwne. Postaram więc wytłumaczyć się bliżej...

Pan Grandville usiadł obok mnie na stopniach. Jego głos brzmiał niezwykle miło i pzekonywująco.

— Rozpoczęło się od tego, że nie mogłem sypiać. Zmęczony całonocnem czuwaniem, dopiero nad ranem zapadałem w sen. Wskutek tego dziwnego, nerwowego mankamentu, zwolna przestałem widywać słońce i dzień. Całe moje życie odwróciło się. Żyłem nocami. Wtedy wpadła mi do rąk niezwykle ciekawa książka o pewnej sekcie z zamierzchłych czasów, którą nazwano „Czcicielami gwiazd". Do stowarzyszenia tego należeli ludzie, których życie rozpoczynało się o zmroku. Pierwsze promienie słońca rzucały na ich powieki cienie snu. Ludzie ci po jakimś czasie stawali się zgoła inni, niż ich bracia, żyjący normalnie. Poddawani przez całą noc — tajemniczym, kosmicznym

Dobra gwiazda.



wpływom gwiazd i dalekich globów — stawali się im posłuszni.

Głos nieznajomego płynął równo — napawając mnie zwolna uczuciami, których nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, ani ich określić.

— Nie przypuszczam — mówił dalej Grandville — abym był zbyt sensytywny, a jednak po jakimś czasie odczułem, że towarzyszy mi w życiu jakaś gwiazda, której wpływom ulegam. Starałem się ją odnaleźć na firmamencie. Wtedy nie udały mi się te poszukiwania Dziś dopiero wiedza moja o gwiazdach jest całkowita... Kiedy niebo było przesłonięte chmurami, lub gdy gwiazda w swej wędrówce oddalała się od ziemi — czułem się opuszczony, zniechęcony, sam. Uczucia niepewności trapiły mnie. To jednak były okresy. Dobre i złe...

Rozmowa o gwiazdach w biały dzień — wydawała mi się z początku czemś nie na miejscu. Po jakimś jednak czasie wiara nieznajomego, tchnąca z każdego jego słowa, udzieliła mi się. Słuchałem go coraz uważniej. Czas płynął. Zdziwiony spostrzegłem, że niebo pociemniało. Ukazały się pierwsze gwiazdy na niebie, jakby przyszły ku nam, zwabione wołaniem Grandville'a.

— Proszę pana — kończył głośniej nieznajomy — powiedziałem panu o sobie tyle różnych rzeczy. Dotąd jednak nie wie pan jeszcze, że jestem malarzem...

Grandville wstał.

— Niedawno ukończyłem tekę rysunków pod tytułem „Gwiazdy". Jeżeli pana to wszystko, co mówiłem, zainteresowało — proszę, niech pan weźmie ją odemnie.

Czarny pan uśmiechnął się i podał mi niewielką teczkę. Wahałem się, czy ją przyjąć.

— Ależ proszę — powiedział Grandville — zrobi mi pan wielką przyjemność...

Wziąłem rysunki, poczem nieznajomy skłonił się z uśmiechem i odszedł. Kiedy ginął już za zakrętem ulicy — przyszło mi naraz do głowy, że przecież ten dziwny człowiek spędził ze mną na rozmowie prawie cały dzień, a, jak sam twierdził, żył wyłącznie nocami. Nabrałem pewności, że rozmawiał ze mną jakiś dziwak. Wolnym krokiem ruszyłem do domu

W mieszkaniu nie potrzebowałem zapalać światła. Błękitna poświata jasnej nocy napełniała go i syciła swym blaskiem. Usiadłem w fotelu. Za szybami roztaczał się cały ogrom i przepych tajemniczej dali. Pomyślałem o mym dziwnym, nowym znajomym. Przypomniały mi się rysunki.

Podniosłem się, zapaliłem światło i otwarłem czarną teczkę. Zacząłem przewracać karty. Czar rysunków oszołomił mnie. Nie spodziewałem się otrzymać tak pięknego upominku. Ujrzałem uśmiechnięte oczy Granville'a, jego szpiczastą bródkę i elegancką sylwetkę. Jakżeż bliski był on swoich małych arcydzieł, pełnych niepokojącego czaru.

Złożyłem starannie rysunki — obiecując sobie odnaleźć nowego znajomego. Oczy mnie bolały. Uprzytomniłem sobie, że cały dzień spędziłem w słońcu. Ogarnęło mnie znużenie. Nie miałem jednak ochoty kłaść się. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu, spoglądając w kojącą czerń nocy. Daleko w górze roiły się miljardy jasnych punktów i skłębione mleczne mgławice.

* * *

Nie wiem co mnie zmusiło do wyjścia tej nocy na ulicę. Błądziłem bez celu między domami z fjołkowych w poświacie nocy — marmurów, skręcałem w wąskie uliczki. Wreszcie znalazłem się nad brzegami rzeki. Arno srebrzyła się jak cynfolja w świetle księżyca i szeleściła lekko.

Na bramie, któregoś z domów stojących nad brzegiem, ujrzałem wywieszkę: „Klub srebrnych gwiazd". Ta tajemnicza nazwa zaciekawiła mnie. Jednocześnie uprzytomniłem sobie, że może tu właśnie zastanę mego znajomego. Nieprzeparta chęć zobaczenia go, nie pozwoliła ocenić mi, jak mało sensu ma cała ta koncepcja. Ne zastanawiając się, że godzina jest już późna, wszedłem do bramy.

Krętymi schodami i słabo oświetloną sienią, jak tunelem katakumb doszedłem do drzwi. Były one zakurzone, jakby nikt nie przekraczał od lat progu, którego strzegły. Chłód ciągnący od rzeki nasycał te mury i przejmował mnie drżeniem. Zapukałem.

Drzwi nagle i bezszelestnie rozwarły się. Z wnętrza padły na ściany sieni okraszone pompejańskimi festonami — smugi światła. Niski, szczupły człowiek zaprosił mnie do środka.

— Proszę niech pan wejdzie. — Poczem dodał: Już tak dawno nikt nas nie odwiedzał...

Dywany, którymi wyłożona była podłoga hallu — stłumiły odgłos mych kroków. Nagle otoczyła mnie zupełna, absolutna cisza — giętka i elastyczna jak guma.

Odźwierny uchylił następne drzwi.

— Proszę... Tu niema zwyczaju przedstawiania przybyłych...

W wielkim pokoju, bogato urządzonym — panował różowy półmrok. Pod ścianą przy stole skupiło się kilkanaście kobiet. Uderzyło mnie to, że były ubrane w suknie z różnych okresów mody. Wyglądało to tak, jakby te damy zebrały się, by razem udać się następnie na bal maskowy. Kobiety szeptem prowadziły ze sobą rozmowę Były skupione. Jedna z nich o pięknej białej karnacji i kruczych włosach podeszła ku mnie. Oczy jej błyszczały niezwykłym blaskiem.

— Niech pan pozwoli bliżej — powiedziała. Przedstawię pana mym przyjaciółkom.

Kolejno zamieniłem uścisk dłoni z obecnemi. Były one wątłe, romantyczne, smutne, płonąc życiem, zamyślone, energiczne, powabne. Szukałem wzrokiem mego znajomego z Piazza Santa Maria. Zapytałem wreszcie o niego.

— On nas opuścił już dawno — powiedziała smutnym głosem pani o wielkich zielonych oczach. Tak dawno już pożegnał się z nami...

— Gdzież go więc mam szukać?

— Jego można spotkać wszędzie, lub nie zastać nigdzie — odpowiedziało chórem kilka głosów.

— Ależ ja rozmawiałem z nim parę godzin temu zaledwie — nalegałem.

— No właśnie, no właśnie — szepnęła brunetka, a jej szkarłatne wargi poruszyły się giętko, jak do pocałunku. Jego można zastać wszędzie...

Atmosfera salonu stawała się dla mnie niezrozumiała. Wyobraziłem sobie, że muszę wyglądać na tem tle niemądrze i kiedy zrezygnowany chciałem odejść — ujęła mnie pod ramię dziewczyna w błękitnej sukni i pociągnęła za sobą ku fotelom w rogu pokoju.

Dokończenie na str. 7-ej

Gwiazda wieczorna.



Gwiazda spadająca.



Zła gwiazda.





RYSUNEK
PRAWNIE
ZASTRZEŻONY

Dokończenie ze str. 5-ej

— Opiekowałam się kiedyś pańskim znajomym — rozpoczęła. Byłam jego gwiazdą — dodała szeptem.

— Wszystko tu jest takie dziwne. Pani mówi rzeczy niezrozumiałe. Niech mi pani powie, gdzie jestem i co to za dom?

— Podejdźmy do okna — zaprosiła dziewczyna, poczem rozwarła aksamitne kotary i otwarła szyby.

— Proszę spojrzeć tam w górę. Te błyszczące punkty — to nasze odbicia — odbicia gwiazd. Dom zaś ten — jest naszą rezydencją W tym oto pokoju wyznaczamy drogi ludziom, którzy mówią: „Opiekuje się mną moja dobra gwiazda", lub czasem: „Winna jest temu zła, przewrotna gwiazda, kierująca mną". Gdyby ci wszyscy, którzy czynią nas odpowiedzialnemi za swe czyny i koleje życia wiedzieli, jak wiele zawdzięczają sobie wyłącznie — szepnęła w zadumie kobieta. My — przybyszę z dalekich mgławic dajemy ludziom swobodę postępowania — predestynując ich tylko w pewnym kierunku... Kiedyś opowiem panu cztery historje o czterech istnieniach i ich gwiazdach...

W tej chwili od okna powiał chłód. Otrząsnąłem się. Poczułem. że jestem zmarznięty.

Obudziłem się.

Lampa na biurku paliła się. Noc za oknami zczerniała bez księżyca. Czułem się nieświetnie. Bolały mnie mięśnie zastygłe w niewygodnej pozie.

Na drugi dzień, zaciekawiony, czy obraz w nocy prześniony ma choćby w części swe realne odbicie w rzeczywistości — poszedłem nad brzeg Arno. Wydało mi się, że poznaje pewne fragmenty.

Nagle stanąłem zafrapowany. Dom z mojego snu, tkwił w szeregu innych. Zbliżyłem się do bramy. Na tynku widniał jasny kwadrat, jakby ktoś niedawno zdarł stamtąd szyld.

* * *

Tego samego dnia dowiedziałem się, że mój znajomy z Florencji umarł w roku 1845, a więc na kilkadziesiąt lat przed naszem dziwnem spotkaniem.

List bez odpowiedzi

SZKIC JULIUSZA LEO
ILUSTRACJE: STEFAN BRZOZOWSKI

Dostałem list aż z Szanghaju...

Z zaciekawieniem rozerwałem wąską kopertę, na której widniał napis jakiejś angielskiej firmy w Chinach. Podpis „Patrick" i pierwsze słowa listu, poprzedzone zwyczajowem *„Dear sir"*, niczego mi nie wyjaśniły. Do listu dołączony był ozdobny kartonik z życzeniami: *Merry Christmas and Happy New Year.*

Patrick? Patrick... któż to mógł być? Napróżno szukałem w pamięci człowieka o tem imieniu. Nieznany mi Anglik pisał:

„Zapewne już dawno zapomniał pan o mnie... Niby w tem nie było dziwnego, bo przecież widywaliśmy się rzadko i to przed osiemnastu laty. — Dużo przez ten czas podróżowałem i zwiedziłem niemal cały świat. Doznałem wielu przygód i moc ludzi przewinęło się przez moje życie. Ale mimo to, co roku, gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, myślą wracałem do was, do Polski, gdzie zawsze dobrze się czułem wśród ludzi tak serdecznych dla mnie. Co porabia wuj pana, kuzyni i nasi wspólni znajomi z pokuckich dworów? Czy pamięta pan jeszcze ten piękny dzień wigilijny przed moim odjazdem do Londynu?..."

Czy pamiętam?... O poczciwy Patryku! kochany „mister drôle"! — jakże mogłem o tobie zapomnieć! Jak się to stało, że uleciały z mej pamięci chwile, które jak jasny promień wtargnęły w mrok wojennych przeżyć owego czasu?

Dziś wracam do tych chwil z utęsknieniem. jak spragniony na pustyni człowiek, który szuka źródła — jak samotnik, wędrujący przez lody Północy dopiero wówczas, gdy mu drogę oświetli zorza polarna...

— — — — — — — — — — —

Był grudzień 1920 roku...

Zawierucha wojenna, która przez długie lata srożyła się na polskich ziemiach, minęła bezpowrotnie. Ludzie nareszcie odetchnęli z ulgą. W chatach cichych wsi — w pałacach i szarych blokach kamienic gwarnych miast pojawił się znowu uśmiech. Ożywiły się wschodnie kresy, z których widmo wojny i niepewnego jutra wygnało mieszkańców daleko na zachód. Wracała tam teraz z bezpiecznych stron starszyzna, a młodzież z szeregów po zwycięskiej kampanji.

Na Pokuciu życie potoczyło się znów normalnym torem. Dwory polskie, które długą wstęgą rozsiadły się w dolinie Prutu po obu brzegach rzeki, rozpoczęły świąteczne przygotowania.

Poniżej: Powrót z wigilijnego polowania...



Było wtedy na co patrzeć. Niejedna spiżarnia, choć obszerna jak przystało na dworskie wymagania, nie mogła pomieścić mnogości smakołyków, wymyślnych i na różne gusta obliczonych, a tak przyrządzonych rafinowanie, jak to tylko ormiańska sztuka kulinarna potrafi. W pokojach wszystkich dworów szalały szczotki i zmiotki w rękach zwinnych łokajczyków. Na podwórza wyciągano sanie, wśród których były i takie, co to kiedyś dziedziców aż pod Lwów woziły. Stajenni troskliwie je czyścili, wyścielając potem wnętrza baranicami, które przeszły już młockę prętami trzcinowemi. Wszędzie panował ruch i gwar jak przed jakąś wielką batalją...

Młodzież jeździła kuligiem od dworu do dworu, wnosząc ze sobą śmiech i beztroski nastrój, a przeszkadzając coniemiara swą ciekawością i wszędobylstwem. Niejednemu też się dostało od zagniewanej pani domu, którą trzeba było potem umieć udobruchać, by pozwoliła zakosztować przed czasem rozkoszy

świątecznego stołu. Tak nadszedł dzień wigilijny, pierwszy od wielu lat wolny od zmory wojennej, który święcić miano na tych ziemiach z podwójną radością.

Od wczesnego rana, przed dwór w W. zaczęli się zjeżdżać goście, zaproszeni przez prezesa Jana na wigilijne polowanie. Przybył więc marszałek Krzysztof z synami i ich preceptorem Patrykiem C., Anglikiem, który od dwóch lat mieszkał na Pokuciu, baron Kocio w towarzystwie nauczyciela swych córek, monsieur Henri R., hr. Edzio Z., kuzyn księcia P., któremu podagra już nie pozwoliła stanąć na starcie myśliwskiej imprezy, czterech braci S., siedzących aż na bukowińskiej granicy nad Czeremoszem i jeszcze kilka innych osób. W polowaniu miały wziąć udział także dwie panie, zawołane sportsmenki, a to baronówna Marietta i jej przyjaciółka, piękna Gladys Z.

Zaraz przy powitaniach zarysowały się granice dwóch kółek towarzyskich, które ze sobą współzawodniczyły o palmę pierwszeństwa na Pokuciu. Jedno skupiało się dookoła osoby sędziwego marszałka Krzysztofa, a należały do niego przedewszystkiem obie wymienione panie — do szeregów drugiego, któremu prezydował baron Kocio, zaliczali się bracia S. i inni, nieobecni na polowaniu. Kuzynek Edzio, znany wzdłuż i wszerz na tych ziemiach figlarz i kawalarz, nie mógł się jakoś zdecydować na wybór przynależności i jak chorągiewka opowiadał się za tą „partją", która w danej chwili miała przewagę. Bracia S. nie bez powodów występowali przeciw „stronnictwu" marszałka. Wszyscy, jak jeden mąż kochali się oni na zabój w baronównie Mariecie, i wszyscy osiedli pokolei na koszu.

Nie trudno było się zorjentować, kogo piękna Marietta obdarzała swemi względami. Patryk C., młody, bo zaledwie 30 lat liczący mężczyzna, rosły i wysportowany, którego dowcip, inteligencja i wykształcenie szły w parze z urodą, typową dla rasy anglo-saskiej, zasługiwał na te względy w zupełności. Pochodził z zamożnej, burżuazyjnej rodziny, osiadłej w hrabstwie York. Imię swe zawdzięczał babce, Irlandce, po której odziedziczył znaczny majątek. Nieszczęśliwe spekulacje na giełdzie szybko pozbawiły go schedy, a ciągłe nieporozumienia z ojcem, wielkim purytaninem, spowodowały, że musiał opuścić Anglję. Wielka wojna zastała go na Węgrzech, gdzie przebywał jako nauczyciel języka angielskiego na zamku hrabiego Z.

Jesienią 1918 roku przywiózł Patryka na Pokucie marszałek Krzysztof, który będąc skuzynowany z hr Z., schronił się u niego przed zawieruchą wojenną. Od tej chwili zwiększył się antagonizm między marszałkiem i baronem Kociem, szczycącym się od lat, że on jeden na całem Pokuciu prowadzi dom „na stopie zagranicznej", czego wyrazem miał być między innemi i fakt posiadania guwernera, Francuza, wychowanka paryskiej Sorbony.

Monsieur Henri R. czuwał też sumiennie nad wszechstronnem wykształceniem córek barona. Miał niewątpliwy talent pedagogiczny, wykształcenie i giętkość umysłu, która dawała mu przewagę nad każdym partnerem w dyskusji. Jako mężczyzna prezentował się wręcz fatalnie. Będąc wzrostu niskiego i wątłej budowy, nie mógł przy swoich 48 latach, krótkich krzywych nogach i szpetnej twarzy liczyć na powodzenie u płci pięknej. A że z natury był kochliwy, łatwo sobie wyobrazić owe częste tragedje sercowe, które mocno komplikowały monotonny bieg życia mieszkańców rezydencji barona i okolicznych dworów. Celem jego westchnień stała się ostatnio baronówna Marietta. To też gdy Francuz przeczuł tylko niebezpieczeństwo, grożące mu ze strony pięknego Patryka, poprzysiągł mu zemstę, maskując na razie nieprzyjazne zamiary przesadną uprzejmością. Rozpoczęła się cicha walka podjazdowa...

Tak kształtująca się sytuacja była wodą na młyn barona Kocia. Nieświadom właściwego celu, dał się on z ochotą wciągnąć w tę grę z myślą dokuczenia marszałkowi Krzysztofowi — temu, jak mawiał, „staremu zarozumialcowi". W ten sposób do ambicyj czysto towarzyskich, dzielących dwory na wspomniane dwa obozy, dołączyła się jeszcze intryga francuskiego guwernera, działająca w niejednym wypadku jak sprężyna, poruszająca dziecinne zabawki.

Jedynym człowiekiem, którego to wszystko razem nic nie obchodziło, był Patryk. Jak przystało na rasowego Anglika, przyjmował on z obojętnością zarówno hołdy, jak i docinki. W tej roli okazał się niezrównany, wyprowadzając z równowagi swą flegmą nawet chytrego jak lis monsieur Henri. Francuz nie mógł mu wybaczyć swobody, z jaką Patryk traktował ludzi, nie wyłączając kobiet i pewnego razu w ferworze dyskusji nazwał go „Mister drôle". To przezwisko stało się szybko popularne na całem Pokuciu, kolportowane ku utrapieniu marszałka Krzysztofa przez członków „stronnictwa" barona Kocia. Niedługo czekano na rewanż drugiej strony. Patryk, w którego naturze nie było ani krzty złośliwości, a który prócz angielskiego nie rozumiał żadnego innego języka, gdy mu wyjaśniono powód i sens przezwiska roześmiał się i zaproponował, aby „monsje Henry" skoro już się tak gorszy nazywany był odtąd „monsje shocking". I to przezwisko jak błyskawica obleciało dwory, powodując, że równowaga atutów obydwóch obozów, chwilowo zachwiana, została znów przywrócona. Tak stały sprawy w chwili, gdy całe towarzystwo pod wodzą prezesa Jana wyruszało na wigilijne polowanie.

Długi sznur sań powoli oddalał się w stronę lasów, które siną smugą majaczyły we mgle poranku. Na przedzie jechał gospodarz polowania i obie panie. Ich to było dziełem, że na drugiem miejscu znalazły się sanie marszałka, a w nich „mister drôle". Baron Kocio, a jeszcze bardziej „monsje shocking" nie mogli się z tem pogodzić, uważając trzecie miejsce w szeregu za mało zaszczytne jak na tak dostojny zaprzęg. Francuzowi chodziło rzecz prosta tylko o to, aby być jak najbliżej swego ideału i zepchnąć na dalsze miejsce znienawidzonego rywala. Za namową guwernera baron wydał polecenie sztangretowi, by przegonił sanie marszałka. Tak rozpoczął się wyścig, zakończony dla barona mało zaszczytnym epilogiem, bo upadkiem do rowu razem z saniami. Dopiero interwencja prezesa Jana uciszyła burzę i pogodziła zwaśnionych. Zostało postanowione, że w drodze powrotnej drugie miejsce przypadnie saniom barona.

Ten niepotrzebny epizod spowodował, że towarzystwo dojeżdżało do leśniczówki w kiepskich humorach. [illegible] bardziej irytował się prezes, któremu jako gospodarzowi zależało na tem, aby polowanie w pełni się udało. I tu, jak zresztą to często miało miejsce, sytuację uratował pomysłowy kuzyn Edzio, proponując, by ze względu na siarczysty mróz... no... i ...inne okoliczności napić się gorącego krupniku. Po dłuższej jeździe propozycja ta wszystkim przypadła do gustu. Wpływ alkoholu, urok lasu, który drzemiąc pod grubą kołdrą śniegu tonął w fjoletowych blaskach, wreszcie emocja wypływająca z oczekiwania na pierwszą zwierzynę — wszystko to razem zatarło w umysłach ostatnie przykre chwile. Każdy stojąc teraz na swem stanowisku, łowił z zapartym oddechem odgłosy zbliżającej się nagonki...

Długo trwało, zanim przed linją zamajaczył jakiś kształt. Coś z hałasem przebijało się przez krzaki, ciągnące się szerokim i gęstym szpalerem na skraju polany, gdzie opodal rozmieszczeni byli myśliwi.

— To chyba rogacz — zawyrokował baron Kocio, który swego francuskiego pupila wyekspedjował na koniec linji i oddał w rę-



...przy kominku podejmował gości starym węgrzynem...

Dokończenie na str. 10-tej.

ROZSTRZYGNIĘCIE

p.

Jak spędzam





„Grzybobranie" — Fot. prof. Stanisław Bober, Stanisławów, ul. Wojskowa 7. — **Nagroda Wydawnictwa Magazynu „AS":** Półwyścigowy rower fabryki Rybowskiego (powyżej).

Gdy w dniu 19 czerwca b. r. redakcja Magazynu „As" ogłosiła nowy konkurs pod hasłem: „Jak spędzam wakacje?" nie przypuszczała, że spotka się on aż z tak donośnem echem w całej Polsce. Nic więc dziwnego, że dokonanie wyboru pięciu wśród kilkuset najlepszych zdjęć wakacyjnych, które miały być nagrodzone cennemi przedmiotami, nastręczyło dużo pracy.

Cóż nam wykazał nasz Konkurs wakacyjny?

Śmiemy twierdzić na podstawie zebranego materjału, że fotoamatorstwo rozwinięte jest w Polsce w wysokiej mierze, powiemy nadto, że posiadamy już dziś wielu fotoamatorów, którzy, uzupełniając w dalszym ciągu swą wiedzę, wkrótce będą mogli popisać się swem dziełem przed najbardziej nawet wymagającem jury. Nie zatajajmy również słabych stron pewnej ilości nadesłanych zdjęć: radzimy unikać pomysłów sztucznych, wymyślonych „ad hoc" i właściwie nie dających oglądającemu żadnych miłych wzruszeń. W fotografice, jak w każdej



„Rozkosze wakacyj" — Fot. Marja Gorzkowska, Bydgoszcz, ul. Gamma 9.

Poniżej: **Nagroda Wydawnictwa Magazynu „AS":** 4-lampowa superheterodyna „Telefunken".



Dokończenie ze str. 9-ej.

ce zaufanego strzelca, a sam postanowił towarzyszyć pannie Gladys.

— Coś mi się to nie wydaje — odpowiedziała rezolutna panna. — Wygląda raczej na dzika.

Tymczasem pan Krzysztof, któremu z rozmysłem wyznaczono stanowisko, odległe od miejsca „monsje shocking'a", zasłonięty grupą drzew tak manewrował, że po chwili był już w pobliżu Francuza i teraz na migi dawał znaki Patrykowi, aby poszedł w jego ślady.

Wtem na polanę wypadł dzik. Oślepiony nagłym blaskiem otwartej przestrzeni po mroku leśnych ostępów, okręcił się dwa razy wkoło podrzucając śnieg ryjem i potem pognał jak szalony w stronę drzew, pod któremi stali marszałek i Patryk.

— Odyniec, mospanie! — ryknął na cały las pan Krzysztof, a Patryk, zachęcony wymownym jego gestem, złożył się. Padł strzał — niestety chybiony... Dzik ani nie drgnął, zmienił tylko kierunek biegu i walił teraz wprost na Francuza... Drugi strzał z flanki położył wreszcie zwierzę. Wszystkich oczy skierowały się w tę stronę... „Monsje shocking" stał tam uśmiechnięty z dubeltówką w ręce, a za nim strzelec barona Kocia z kamienną twarzą.

— Angliczanin jeden — mruczał pod wąsem skonsternowany marszałek. — Z „trzepaczką" to umie latać (aluzja do gry w tenisa, za którą Patryk przepadał), a świni nie może dać rady... Taki despekt... Francuzikowi, rokokowemu wiercipięcie dał się ubiec... hołyszowi, co to niewiadomo skąd naraz tak kropić potrafi...

Bo też dla wszystkich było tajemnicą, jak guwerner, który nigdy przedtem nie odnosił sukcesów na polowaniach, mógł zdobyć się na tak mistrzowski strzał. Baron z widocznem zadowoleniem objaśniał zebranym:

— W samą komorę! jak się patrzy. Popisał się kochany Henri, niema co mówić.

Od tej chwili szczęście nie odstępowało „monsje shocking'a" podczas całego polowania. Pan Krzysztof, który wietrzył tu jakiś podstęp barona i jak potem głośno mówiono nie był daleki od prawdy, śledził uparcie Francuza, ale niczego wykryć nie zdołał. To mu do reszty popsuło humor. Na Patryka nawet patrzyć się nie chciał, doprowadzony do szewskiej pasji jego humorem i obojętnością, jaką okazywał wobec sukcesu przeciwnika. Postanowił działać, zgnębić za wszelką cenę barona i w tym celu przywołał hrabiego Edzia, z którym coś długo na uboczu konferował.

Tymczasem polowanie dobiegało końca... Myśliwi po ostatnim miocie zeszli się znów pod leśniczówką, skąd wyruszyć miano w powrotną drogę. Zanim to nastąpiło, odbył się końcowy akt „tragedji" marszałka i jego obozu. „Monsje shocking" został obwołany królem polowania. Prezes Jan, przeliczając ubitą zwierzynę, musiał mu przyznać pierwszeństwo, mając na rozkładzie równą ilość zajęcy. Nieszczęsny dzik zadecydował o tytule Francuza.

Mrok już zapadał, gdy dojeżdżano do pierwszych chałup majątku prezesa. Kuzynek Edzio, zwykle rozmowny i sypiący dowcipami jak z rękawa, teraz siedział milczący obok guwernera, który pieścił w swych rękach wspaniałą dwururkę, prezent uszczęśliwionego barona. Nagle z poza za-

KONKURSU „ASA"

ł.

wakacje?

sztuce, obowiązuje przedewszystkiem swoboda kompozycji i temat: gdy posiadamy dobry temat nie potrzebujemy go bynajmniej ujmować sztucznie, a gdy nim nie rozporządzamy żadna sztuczność tutaj nie pomoże.

Podając niniejszem nagrodzone fotografje z wymienieniem nazwiska autora oraz odnośne nagrody, redakcja Magazynu „As" składa nagrodzonym serdeczne życzenia, dziękując równocześnie wszystkim uczestnikom za wzięcie udziału w konkursie.





Powyżej: **„Na wodach Morza Północnego"** — Fot. Mieczysław Lissowski, Warszawa, ul. Lwowska 17. — **Nagroda Firmy Anastazy Froncz, Kraków, ul. Florjańska 17:** Neseser podróżny.





Na lewo: **„Pociechy na wakacjach"** — Fot. Olga Śmiechowska, Kraków, Aleja Mickiewicza 55. — **Nagroda Firmy „Kodak", Warszawa I, Plac Napoleona 5:** Aparat Cine Kodak 8 model 20 (powyżej).

Na prawo: **„Spinaczka"** — Fot. inż. Jan Schöppl, Jaworzno, „Azot". — **Nagroda Firmy „Kodak", Warszawa I, Plac Napoleona 5:** Aparat Kodak Regent f. 4. 5. (poniżej).





krętu drogi wypadła sfora rosłych wilczurów i ujadając otoczyła sanie.

— Wilki! strzelaj pan! — krzyknął z udanem przerażeniem hr. Edzio. Na pierwszy rzut oka można było ulec złudzeniu, a że ostatnio słuchy dochodziły z Bukowiny o częstych odwiedzinach tych niepożądanych gości w wiejskich zagrodach, Francuz wziął okrzyk na serjo i nie namyślając się długo, wypalił do pierwszego z brzegu zwierzaka. Biedne psisko zwinęło się i bez życia padło na drogę. Strzał zatrzymał jadące przodem sanie, które zawróciły i podjechały do zaprzęgu hr Edzia. Gdy sytuacja się wyjaśniła, baron nie mógł ukryć swego niezadowolenia. Najgłośniej objawiał ukontentowanie pan Krzysztof, który wytarabaniwszy się z sań, trząsł się cały od śmiechu:

— A to mi król polowania! Ładnieś się asan popisał... Kochany baronie, taki „casus paskudeus" gwoli rozweselenia dam... — mówiąc to, ściskał serdecznie rękę kuzynka Edzia, który uciekał przed wzrokiem rozsierdzonego barona.

Wesołe to zdarzenie stało się na długo tematem rozmów całej okolicy. Omawiano je też szczegółowo podczas wilji u prezesa Jana, po której młodzież wybrała się kuligiem do dworu marszałka. Ten siedząc w wygodnym fotelu przy kominku podejmował gości starym węgrzynem i opowiadał o czasach odległych, a ciekawych, pełnych przygód i równie burzliwych, jak te, które codopiero minęły, o smutkach i radościach ziemi pokuckiej i o przywiązaniu do niej ludzi, których zrodziła.

Za rytmem słów sędziwego pana Krzysztofa podążały serca młodych. Rodziło się niejedno uczucie, a myśl wyprzedzała czasy, które dopiero nadejść miały...

— — — — — — — —

Leży przedemną list z Szanghaju... Małe, kształtne jego literki tańczą przed oczyma jak wirujące płatki grudniowego śniegu. Wabią i zachęcają do odpowiedzi. — Co mam odpisać Patrykowi?

Przed rokiem jechałem znów doliną Prutu. Wiózł mnie stary Wasyl, ten co to przed osiemnastu laty prowadził nasze kuligi, wierny stangret mego wuja. W ślad za wspomnieniem wzrok mój napróżno szuka miejsc, które wówczas tętniły życiem i radością.

W ciszy i milczeniu, które przerywa jęk wichru, mijamy opustoszałe dwory. Tam, gdzie dawniej okna jarzyły się od świateł powodzi, migoce zaledwie płomyk świecy, jak na grobie, o którym ktoś przecież pamięta.

Wasyl opowiada: Starsi dawno pomarli, młodzież rozjechała się po świecie, bo czasy nastały coraz cięższe. Tu zlicytowano majątek, a „pan", przybysz z miasta, zamieszkał w oficynie. Tam rozparcelowano dobra; resztę, minjaturowy folwarczek, wydzierżawili ubodzy krewni. Jeszcze gdzieindziej pożar strawił gospodarstwo i nie było skąd wziąć na odbudowę. Na jedną nutę brzmi ta ponura opowieść... Jedziemy jakby aleją cmentarną, wśród grobów, które na zawsze skryły polskie bastjony kresowe.

Myśl uporczywie wraca do chwil, przeżytych kiedyś na tej ziemi. Czy to możliwe, żeby wszystko runęło w gruzy?

Jakże to bolesne!... może nawet i dla tego Anglika z Szanghaju.

Wielki rekonesans*)

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

SZKIC

A no w 5-tym pułku jazdy chwat w chwata był — żołnierz wytrawny, niczego poza wojaczką nie uznający. Na czoło korpusu oficerskiego wybijali się dzielnością, żołnierską postawą i wielkim munduru umiłowaniem porucznik Henryk Dembiński, dowódca 6-tej kompanji, Ignacy Mieroszewski, który wówczas piątą kompanją dowodził w randze kapitana, Jezierski, Jagmin, Jaskulski i grossmajor pułku Fredro. Dowódcą był Kurnatowski.

Kończyły się dobre czasy warszawskie. Pułk piąty dotąd rolę gwardji przy królu pełnił. Służba nie była trudna, ale nudna. Codzień inny z poruczników lub kapitanów w trzydzieści koni eskortował karocę, którą król dalsze spacery przedsiębrał. Wynagradzali sobie natomiast panowie oficerowie te nudne eskortowania — rozkoszami stołu. Oficerowie, tak jazdy jak i bataljonu piechoty, który danego dnia wartę zaciągał, jadali zawsze u stołu marszałkowskiego wraz z adjutantami królewskiemi. Ceniło się wówczas w Warszawie dobry stół i butelkę uczciwego wina, bo bieda wielka była.

Na wiosnę roku 1812 król saski do Drezna odjechał, a wkrótce potem cała jazda, a więc z nią i pułk piąty rozkaz otrzymał przejścia na prawy brzeg Wisły. Rozpoczęło się życie obozowe. Jechał tedy pan Ignacy na czele swej kompanji, kontent wielce, że to nudne warszawskie życie się skończyło. Kompanja, którą dowodził, nie była zbyt wysoko cenioną w pułku, składała się bowiem z młodego, niedoświadczonego żołnierza. W polu miał nadzieje zahartować kompanję i w musztrze taktycznej wprawić.

Niebawem nadeszły rozkazy i pułk ruszył dalej. Główna kwatera pułku obrana została w Mińsku, natomiast 5-ta kompanja, dowodzona przez pana Ignacego Mieroszewskiego i 6-ta Henryka Dembińskiego w Kałuszynie ulokowane zostały. W Kałuszynie pan Ignacy od miejscowego ziemianina Lasickiego dwa świetne konie kupił. Na jednym odtąd sam jeździł, drugiego zaś Babiczyk w odwodzie prowadził. Wiadomości nadchodziły skąpe. Nie mógł się tedy pan Ignacy niczego konkretnego dowiedzieć. Dembiński Henryk (późniejszy jenerał), któremu administrację obu kompanij w Kałuszynie lokowanych powierzono — też nic nie wiedział.

Na wojnę się zanosiło — na tę wojnę decydującą z Moskwą. Pan Ignacy rozmowy warszawskie wspominał, te puste targi po salonach prowadzone. Skończyło się wszystko psiamać! Niech sobie te panki w statystów się bawią — myślał — teraz pewnem jest, że bagnet a pałasz ostatnie słowo wypowiedzą. Narazie nie było źle. Rekwirowało się wszystko — taki rozkaz był. Żyto koniom się dawało — do marszów dalekich się sposobiąc.

W trzecim tygodniu — w środę wieczorem, gdy pan Ignacy stambułkę po wieczerzy spokojnie zapalił i na Henryka Dembińskiego czekał, który pikiety sprawdzić się wybrał — zadźwięczały podkowy o bruk. Kurjer z kwatery! Wpadł oficer zakurzony z rozkazami. Zjawił się i Dembiński.

Pan Ignacy stambułkę do kieszeni schował, pałasz z kołka zdjął i wypadł na podworzec. Po chwili trąbiono już wsiadanego. Piąta i szósta kompanja ruszyły za Bug — gdzie połączywszy się z pułkiem w pospiesznych wojennych marszach, postępowali ku Grodnu.



Pułkownik Ignacy Mieroszewski, z współczesnej litografji Villain'a podług portretu Kurowskiego.

Wkroczono na Litwę. Potem pułk przesunął się w okolice Żołudka. W międzyczasie zaszły rzeczy wielkie. Cesarz odebrał dowództwo nad korpusem królowi westfalskiemu i oddał je w ręce księcia Józefa Poniatowskiego. Od tej chwili rozpoczął się ten morderczy pościg za umykającym Bagrationem, który już raz się wymknął.

Marsz to był okrutny. Pan Ignacy na czele swej kompanji jechał przez błota pińskie, idąc na Słuck. Koni przekulbaczyć nie było czasu — kurzawa taka wstawała z gościńca, że ani koni, ani ludzi rozeznać nie było można. Z nieba lał się żar. Z nad błot nocami chmary komarów przylatywały, tnąc niemiłosiernie konie i ludzi. Żołnierz młody był w kompanji pana Ignacego, toteż straty były poważne. Ani wyspać się, ani zjeść — nic, jeno tylko ten marsz bez przerwy. Konie się chwaciły, odparzały — żołnierz od ukąszeń komarów chorował. Rozkazy przynaglały.

Każdego ranka pan Ignacy pilnować musiał kompanji, bo żołnierze napoły śpiąc wadliwie konie kulbaczyli — kaszkietów, karabinów, pałaszy zapominali, sami nie wiedząc, czy żyją? Jeżeliby tego był poniechał, to pewnym mógł być, że pół kompanji bez pałaszy i bez mantelzaków z postoju ruszy.

A no szli jak huragan po tej ziemi spalonej słońcem. Pan Ignacy co kilka dni Babiczykowi kazał swój pas zacieśniać i coraz to nowe w nim dziurki wiercić. Schudł i zczerniał w czasie tego pościgu za niewidzialnym wrogiem.

— Gdzież się te draby oprą? — myślał pan Ignacy. Cóż to za wojna dziwna bez wystrzału.

Z furażem było coraz gorzej. Kozacy palili wszystko — wywożąc całą żywność. Pustynią się szło — a rozkazy z dowództwa korpusu ciągle przynaglały.

— Jak tak dalej pójdzie — mówił pan Ignacy do Dembińskiego — to w kilkadziesiąt koni pod Moskwą staniemy. — Żołnierz nie wytrzyma już długo tych marszów.

Dembiński kiwał głową. Obaj wiedzieli — że źle. Konie ginęły jak muchy za nowemi trzebaby się oglądać — bo przy pierwszej bitwie odmówią posłuszeństwa.

Za Mirem — gdzie jazda nasza poraz pierwszy z kozakami Płatowa, który tylną straż Bagrationa tworzył — starła się na ostro — pan Ignacy dziwną miał przygodę. Któregoś dnia wieczorem, gdy już postój był zarządzony — Babiczyk, który bezustannie za jedzeniem i końmi węszył — zameldował panu Ignacemu, że dwie mile na wschód w karczmie odział kozaków się przytaił z wielką ilością koni i furażu. Chłop przyłapany przez pikiety potwierdził ten meldunek.

Pan Ignacy po porozumieniu się z Dembińskim — wybrał trzydziestu co zuchwalszych żołnierzy ze swej kompanji i chłopa na konia posadziwszy między dwoma ułanami — ruszył. Noc była gwiaździsta — jasna, że czytać by można jakby w dzień. Jechali wpierw gościńcem, lecz niebawem przez las trzeba było się przeprawić. Pan Ignacy wpierw szpicę puścił — nakazawszy stępa. Z chwilą zaś gdy oddział w las wjechał — zapowiedział galop. Droga równa była — toteż po kilkunastu minutach wraży las (zasadzka zawsze możliwa — niemiło psiamać!) szczęśliwie minęli.

Przed nimi w małej kotlince nad rzeką w mgle w odległości kilkunastu stai — stała karczma otoczona zewsząd wysokim płotem.

— To forteca — mruknął pan Ignacy. Zsiedli z koni. Pan Ignacy wybrał starszego ułana Frukalskiego i temu na zwiady iść polecił. Gęste krzaki biegnące wzdłuż rzeki podchodziły pod samą niemal karczmę. Frukalski sprawdził pistolety i ruszył.

Ułani konie przy pyskach trzymali każdej chwili gotowi do wsiadania. Pan Ignacy na pniak się wdrapał nie spuszczając oczu z karczmy.

Niebawem Frukalski meldował się z wywiadu. Podszedł niemal pod same zabudowania. W opłotkach gwar był znaczny — wozy skrzypiały — najwidoczniej gotowano się do drogi. Pikiet nigdzie nie było — w samej tylko bramie sześciu kozaków wartowało.

Pan Ignacy wydał rozkazy i po chwili krótkim galopem zataczając wielkie koło zbliżali się do karczmy. Wyjechawszy z zagajników ruszyli jak burza w bramę. Huknęły pistolety. Rozpęd koni zmiótł dosłownie kozaków z bramy i po chwili piętnastu ułanów z panem Ignacym na czele na karkach kozaków wpadło na obszerny podworzec. W tej samej chwili dach karczmy stanął w płomieniach. Zrobiło się jasno jak w dzień. Wrzało. Smalono z pistoletów wprost w piersi — kłuto pałaszami, bo na zamach nie było miejsca.

Kozacy cofnęli się w kąt i otoczyli wozy. Bronili się zaciekle przypierani przez ułanów. Panu Ignacemu dwukrotnie kula świsnęła tuż koło głowy. „Ktoś za cel sobie mnie wziął!" — mruknął prąc koniem coraz bliżej. Wreszcie wspiął się w strzemionach i sztychem zciągnąwszy olbrzymiego kozaka, który z wozu rąbał pałaszem — dojrzał na wozie kobietę mierzącą prosto w niego z pistoletu. Pałasz podniesiony do cięcia zatrzymał się w półdrogi. Pistolet nie wypalił.

— Tfu! psiamać! — zaklął pan Ignacy. Cóż to znowu ma znaczyć!

W tej chwili nadjechali ułani, którzy w odwodzie stali. Ostatnich pięciu kozaków koło wozu rzuciło broń na ziemię. Pan Ignacy zawrócił konia. Tymczasem Babiczyk wynosił z ułanami z płonącej karczmy worki kaszy, połacie słoniny, bochenki chleba, których kozacy na wozy zabrać nie zdo-

Dokończenie na str. 26-ej.

*) Szkic niniejszy, oparty na dokumentach rodzinnych, jest fragmentem większej całości.



MELDUN

KRÓL ŻYCIA: BONI DE CASTELLANE



Markiz de Castellane pisze swe pamiętniki...



Na prawo: Znany malarz Toulouse-Lautrec w mistrzowski sposób uchwycił charakterystyczne fragmenty paryskiego życia z końca XIX w.: Macelle Lender na deskach operetki.

Jak w cocktailu różne kolorowe warstwy układają się jedne nad drugiemi, tak w dziejach Francji powstawały coraz to nowe arystokracje, tworząc, podobnie jak w amerykańskim trunku, „geologiczne" nawarstwienia. Spotkamy reprezentantów tych rządzących niegdyś warstw w każdym salonie paryskim. Dobrze znający dzieje Francji, obeznany z jej socjalnym dynamizmem w przeszłości i w dniach dzisiejszych, będzie mógł sklasyfikować spotkanych znajomych według daty ukazania się ich rodzin na widowni. Jak w piwnicy, w której obok siebie leżą flaszki wina, pochodzące z różnych lat, tak i tu obok potomków krzyżowców spotkamy przedstawicieli „szlachty republikańskiej", obok diuków pierwszego cesarstwa, markizów czy hrabiów kreacji monarchji Ludwików i będziemy mogli zastanowić się nad tem „falowaniem społecznem", nad odpływem i przypływem władzy, znaczenia i pieniędzy, które powoduje powstawanie t. zw. „sfer wyższych".

Taki socjalny cocktail spotkamy w paryskich salonach, w dancingu, w barze czy teatrze: uwarstwienia te jednak są na prowincji jeszcze bardziej wyraźne i, co więcej znaczy, realne. Tam się wie, kto zacz, skąd i jak doszedł do majątku: tam tradycje, które we Francji narastają w postaci patyny (bynajmniej nie kurzu czy zaniedbania!) są do dziś tak żywe, że możnaby ten kraj nazwać najbardziej konserwatywnym mimo wszelkich frontów ludowych, pana Bluma et consortes. Ciekawe rzeczy mówi na ten temat wnikliwy francuski historyk i socjolog wicehr. d'Avenel: twierdzi, że nawet arystokracje najnowszej kreacji są, we Francji, usposobione tradycyjnie, starając się nie tworzyć nowe formy, lecz wejść w stare, należące do warstwy, która schodzi z pola.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że mimo rewolucji, po dziś dzień przeszło 1700 zamków zabytkowych, pełnych wartościowych pamiątek, znajduje się w rękach arystokracji francuskiej wszelkiego autoramentu, że warstwa ta wydaje w dalszym ciągu wielu wybitnych uczonych, literatów, mężów stanu itd. (przykłady ks. de Broglie, sławny chemik, ks. de Gramont, znany optyk, ks. de la Force, historyk, członek Akademji, jen. de Castelnau, jeden z najwybitniejszych jenerałów podczas wojny światowej, markiz de Dion, jeden z pierwszych fabrykantów samochodów we Francji i w. in.), to musimy sobie zdać sprawę, że tradycje dawnej Francji, tej „vielle France, która każdego Francuza mimo cały republikanizm czy nawet komunizm wzrusza w głębi serca, nie jest trupem, ale przeciwnie, ma swoich kontynuatorów, ludzi żywych, dzielnych i przynoszących pożytek krajowi.

Słynny Faubourg St. Germain w Paryżu ma liczne „filje" na prowincji: w cieniu starych murów domostw miejskich czy wiejskich wzrastają ludzie, którzy wierzą w normalny, zgodny z naturą rozwój człowieka, danej warstwy i wszelkich zjawisk — a to właśnie jest konserwatyzmem. Do najciekawszych reprezentantów francuskiej arystokracji należał, niedawno (1929) zmarły Bonifacy markiz de Castellane, zwykle, nietylko w Paryżu, ale też w Europie całej, zwany poufale „Boni".

Należał on do epoki, w której uwagę obserwatora życia francuskiego budziły nazwiska i zjawiska: Dreyfus, jen. Galiffet, Boulanger, Zola, Toulouse-Lautrec, wystawa paryska, wszystkie razem znamionujące ogromne przemiany w strukturze narodu: i Francja była wtedy ciągle jeszcze na przełomie. Młoda stosunkowo republika miała licznych wrogów, a dzisiejsza walka z frontem ludowym była wtedy, mutatis mutandis, w zaczątkach. Boni de Castellane był mimo rodzinnych tradycyj, człowiekiem nader współczesnym. A ponadto był ambitnym: może trochę kondotierem, awanturnikiem, ale najwyższego rzędu. Ukochanie życia i wszystkich jego ciekawych przejawów, wyrobiło w nim wytworny, artystyczny epikureizm. Gdy w tym samym mniej więcej czasie (1900) zachodziła gwiazda „króla życia", Oskara Wilde'a, który w nędznym hoteliku paryskim dokonywał swego żywota, nowy król życia obejmował rządy nad umysłami, pewnej przynajmniej warstwy, zwanej „high-lifem". Wychowany na wsi w majątku Rochecotte, który od 20-tu generacyj należał do rodziny jego dziadków de Juigné, Castellane byłby zapewne poszedł śladem swych przodków, służąc krajowi jako oficer, dyplomata, czy też oddał się gospodarstwu, gdyby nie przypadek, nadający jego życiu nowy kierunek.

Epokę, w której poznał swoją przyszłą żonę, opisał w swych pamiętnikach pod tytułem „Comment j'ai découvert l'Amérique". Nie była to przesada: Boni de Castellane nie tylko „odkrył" piękność i... majątek młodej Amerykanki, p. Anny Gould, jednej z najbogatszych ówczesnych partyj, ale uczynił małżeństwo z pannami z Nowego Świata modnymi. Zjawienie się w roku 1894 pięknej miljonerki wywołało w Paryżu sensację: stara Europa nie znała jeszcze, tak jak dziś, tych ekscentrycznych bogatych entranżerów, którzy między jedną a drugą partją tenisa żenią się lub rozwodzą, bankrutują lub zdobywają miljony. Chcąc poznać ojczyznę pięknej panny, Boni de Castellane wybiera się do Nowego Jorku: dociera do celu niemal bez grosza. Później, gdy będzie posiadał miljony, również nieraz znajdzie się w tej sytuacji. Dziwny ten człowiek, gnany głodem wrażeń, poruszany niezwykłą dynamiką, naka-

zującą mu przedsiębrać więcej niż na to pozwalały jego możności, mimo całej swej inteligencji, zdolności i znajomości życia, zatracał powoli granicę między realnością a fikcją. Otrzymawszy olbrzymi posag za żoną (1895) — kilkadziesiąt miljonów franków — Boni de Castellane otwiera swe salony, w których wkrótce miało się gromadzić najbardziej wytworne i ciekawe towarzystwo z całej Europy. O ile z początku cały Faubourg St. Germain ostro krytykował małżeństwo młodego arystokraty z Amerykanką, a wielu zarzucało mu snobizm, który miał być pierwszym powodem tego aljansu, o tyle wkrótce przekonano się, że on — arystokrata z krwi i kości, nie ma w sobie nic snobizmu, natomiast żona jego jest osobą równie złośliwą jak nieszczerą, szukającą jedynie wielkoświatowych, płytkich dosyć emocyj! Mając wielki majątek Castellane puszcza cugle swym namiętnościom: zbiera starożytności, obmyśla plany dla swego pałacu na avenue du Bois, który był repliką Małego Trianon, zaprasza artystów, literatów, bierze udział w polityce jako deputowany z okręgu Castellane, wydaje pismo, zabiera głos jako publicysta, posiada wspaniałą stajnię wyścigową — a przedewszystkiem, jak wielki artysta, jak wizjoner wykwintu, daje wspaniałe przyjęcia.



Boni de Castellane w karykaturze Sema.

gospodarz zamku chcąc sharmonizować cały obraz wspaniałej uczty, kazał zmienić tapety, służbę przebrał w białe liberje, a w całej sali jadalnej poumieszczał jedynie meble o pastelowych kolorach. Duża była jego decepcja, gdy król zjawił się w... czerwonym smokingu, psując kolorem swego ubrania cały, tak szczegółowo obmyślony obraz! Drobny ten epizod jakże dobrze charakteryzuje duszę człowieka, który nie umiejąc sam malować był właściwie malarzem i pierwszorzędnym inscenizatorem, przeżywającym szczerze każde artystyczne wzruszenie.

Znany w całym świecie, rysowany i portretowany przez najsłynniejszych malarzy — Besnarda, Driana, Sema — przyjmujący jak równych sobie królów i wielkich tego świata, markiz de Castellane, będąc od małego dziecka słabym matematykiem, nie zauważył, że fortuna jego maleje i topnieje coraz prędzej. Rozwód, który był następstwem ruiny majątkowej, strącił wielkiego światowca z jego piedestału. — Przykry proces rozwodowy (1906), następnie małżeństwo żony jego z jego bliskim krewnym ks. Saganu, napastowanie przez wierzycieli i wiele innych konsekwencyj ukazały „królowi życia" drugą stronę medalu egzystencji jaką dotychczas prowadził. Lecz dziwny ten człowiek nie załamał się: korzystając z swych znajomości antykwarskich, otwiera wytworny choć mały maga-



Na lewo: Pałac Castellanów na Avenue du Bois.



B. de Castellane — portret Alberta Besnarda.

Przyjęcia te stały się w swoim czasie przysłowiowe: nieraz zjawiało się na nich do 2000 osób, a służbę pełniło często 500 lokajów w galowych, stylowych liberjach. Pierwsze, niejako inauguracyjne przyjęcie w nowym pałacu wydaje markiz dla wszystkich tych, którzy współpracowali w jego budowie. Obok wytwornych panów z towarzystwa paryskiego, gości przybyłych z zagranicy, podejmuje on murarzy, cieśli, malarzy pokojowych i dekoratorów. Najsłynniejsze bodaj jednak przyjęcie u markiza odbyło się pod egidą kwiatów: wszystkie panie przybywające do pałacu przedstawiały różne kwiaty, co rzecz prosta, tworzyło niezwykle piękny obraz. Ale nie tylko w pałacu paryskim urządza Boni przyjęcia, o których mówi Europa: również w swym zamku Marais (Seine-et-Oise) przyjmuje wspaniałymi festynami dostojnych gości, nieraz królów i wybitnych mężów stanu, piękne kobiety, literatów, malarzy i artystów wszelkiego rodzaju. Pewnego razu pyta się markiza jeden z jego gości, dlaczego służącego, pilnującego bramy, ubrał w czerwoną liberję. Castellane, entuzjasta kolorów i artyzmu, odpowiada: „Liberja jego tylko dlatego jest czerwona, że tworzy wspaniałą malarską plamę na szarym murze, na tle którego się znajduje". Na jednem z takich przyjęć na cześć Don Carlosa portugalskiego,

Poniżej: „Król życia" w wieku lat dwudziestu.



zyn z antykami w Paryżu i staje się cenionym doradcą bogatych amatorów rzadkich i cennych bibelotów. Markiz-epikurejczyk staje się filozofem: żałuje przeszłości, przyznaje się do swych ekstrawagancyj, z uśmiechem, może nieco złośliwym, patrzy na dawnych przyjaciół, którzy go opuścili i nie kłaniają mu się już na ulicy gdy spotykają go jadącego dorożką a nie własnym, wytwornym ekwipażem.

I dziwny ten człowiek, uważając, że ma dużo do powiedzenia, bo wiele przeżył ciekawych chwil, wielu znał wybitnych ludzi i dużo się nauczył, pisze pamiętniki. — Drugi ich tom poświęcony „siedmiu latom chudym" nazwał: „L'art d'être pauvre". Niezwykle współczesny, nie narzekający na zmianę losu, Castellane zwraca się jednak ku przeszłości: z swych licznych dóbr zachowuje tylko... groby rodzinne swych przodków, jakby chcąc je oszczędzić przed wtargnięciem obcych, niepowołanych ludzi.

Niezwykły i ciekawy „król życia", mimo wszystkich swych szalonych może czynów, nie zasłużył jednak na nazwę utracjusza ani snoba: był tylko wielkim artystą, spalającym się w ogniu własnej fantazji, która kazała mu uważać świat za wielką scenę, wymagającą wspaniałych, kosztownych dekoracyj...

Jan Maleszewski

MEBLUJEMY TRZYPOKOJOWE MIESZKANIE...



Projekt zabudowania ściany w pokoju pana.

Dodatek do numeru świątecznego „Asa", poświęcony problemowi urządzenia mieszkania dla jednej rodziny. (Od str. 17 do 24)

ANTYK



Cechą skonstatowaną krajów o wyższej kulturze, jest wielka uwaga, jaką przywiązuje się tam do własnego domu, mieszkania, home'u jak mówią Anglicy. Troska ta jest chyba zupełnie zrozumiała. Wszak dom, w którym spędzamy godziny wypoczynku, który stanowi ramy dla naszego życia rodzinnego i towarzyskiego, powinien być dla nas naprawdę miły, a przebywanie w nim zaliczać się powinno do naszych trwałych przyjemności życiowych. Aby tak było w istocie trzeba, aby ten dom był wygodny i ładnie urządzony. Dużą część troski o wygodę mieszkania bierze na siebie dzisiejszy architekt, którego obowiązkiem jest dać mu dobry rozkład, pokojom taką wielkość, proporcje i rozmieszczenie okien i drzwi, aby były ustawne, a wreszcie wyposażyć mieszkanie w dobrze obmyślone i rozmieszczone urządzenia, służące higjenie i gospodarstwu domowemu. Reszta zależy jednak od mieszkańca. On zdecyduje o rodzaju i stylu całego urządzenia wnętrza, o rozstawieniu mebli i innych przedmiotów.

Ludzi zabierających się do urządzenia sobie mieszkania jest dużo. Będą to przedewszystkiem młode małżeństwa, zakładające swe ogniska rodzinne, a potem także i ci, którzy czy to z powodu zmiany mieszkania, czy poprawienia się ich warunków bytu, czy też poprostu zniszczenia dotychczasowego urządzenia, przystępują do sprawienia sobie nowego urządzenia, w całości lub części. Nie mały to bywa kłopot. Wszyscy zdają sobie sprawę, że decyzja, którą mają powziąć jest nieprzemijającego znaczenia, że przez wiele lat ponosić będą dobre lub złe jej skutki. Stąd dużo wątpliwości i wahania się. Rzadko kiedy dobry doradca jest tak pożądany, jak w takiej właśnie chwili.

Sądzę, że wypowiadając parę uwag na ten zawsze żywotny temat, trafiamy w istotne zainteresowanie Czytelników. Za podkład do naszych rozważań przyjmijmy komfortowe (nie luksusowe) mieszkanie trzypokojowe, jako odpowiadające istotnym potrzebom wygody dla samotnego małżeństwa, poprostu temu, co się ludziom na pewnym stopniu kultury należy, z tem, że jeżeli są dzieci, to doliczyć należy dla nich czwarty pokój. Wszystko, co poniżej tej normy — uznać należy za pewien niedostatek, który oby trwał jak najkrócej, co zaś ponadto — za pewien zbytek, którego zresztą oby było jak najwięcej.

Zacznijmy od przeznaczenia tych pokoi. Otóż nie trzeba zapominać, że mieszkanie trzypokojowe powinno być zdolne do wypełnienia od czasu do czasu roli reprezentacyjnej i pomieścić nawet większą ilość gości. Uważam za upokarzające do pewnego stopnia, jeśli ktoś przemeblowuje i przewraca mieszkanie do góry nogami na przyjęcie gości. Trąci to jakgdyby przyznaniem się, że uważa się tych gości za coś lepszego od siebie samego. Jeśli ktoś nie posiada salonów recepcyjnych, to powinien pokoje, w których mieszka, tak urządzić, aby zawsze nadawały się do przyjęcia gości, a w naszym przykładzie do tego celu powinny nadawać się wszystkie trzy pokoje. Tradycyjny podział burżuazyjny na salon, stołowy i sypialnię zrodził się z naśladownictwa znacznie obszerniejszych i pańskich pomieszczeń, a w stosunkach średnio-zamożnych miejskich daje w wyniku ciasnotę w jednych pokojach, przy niepełnem wykorzystaniu innych. Dlatego też coraz bardziej przyjmuje się następujący praktyczny podział: osobny pokój pani, osobny pokój pana i pokój będący połączeniem salonu i stołowego, przez Niemców zwany „Wohnstube", który my tu nazwiemy świetlicą, jako że ta stara polska nazwa najbardziej odpowiada jego charakterowi i przeznaczeniu.

Dobre strony tego podziału są uderzające: kosztem martwego i mało użytecznego salonu zyskuje się możność rozdzielenia wspólnej sypialni i dania tak mężczyźnie, jak kobiecie swojego własnego pokoju, w którym mogą swobodnie żyć i pracować bez krępowania na każdym kroku swego towarzysza lub towarzyszki życia. Pomijając już kwestję estetyki pożycia małżeńskiego, to pozwala to małżonkom wstawać rano o innej porze bez budzenia się wzajemnego, gasić światło i zasypiać kiedy które zechce, a chęć doczytania do końca rozdziału zajmującej książki nie musi wywoływać protestów drugiej strony, jeśli ta jest zmęczona i śpiąca. W wypadku choroby jednego z małżonków podział taki specjalnie korzystnie daje się odczuć.

Połączenie w jedno salonu i jadalni nie wywołuje nadmiernych niewygód. Życie rodzinne w dużej mierze skupia się przy stole, od którego nie zaraz ludzie się zrywają gdy skończą jeść, ale zwykle chętnie posiedzą dłużej na pogawędce. W ten sposób stosunkowo dość dużo czasu spędza się w świetlicy ładnie i starannie urządzonej, gdzie przebywając ma się sposobność cieszyć temi miłemi dla oka rzeczami, które będą tam nagromadzone. Przy gościach bardziej intymnych zawsze wszak można nakryć względnie zebrać ze stołu, a w wypadkach przyjęć są przecież w odwodzie na tą chwilę dwa inne pokoje, które jakeśmy to

Powyżej: Pokój pani.

Poniżej: Pokój pana.



I, CZY...

założyli, tak będą urządzone, iż spełnić będą mogły rolę pokojów bawialnych.

Sprawą, która wyłania się odrazu dla każdego, kto ma urządzić sobie mieszkanie, jest kwestja, czy ma to zrobić meblami z epok minionych, czy też w stylu nowoczesnym. Tym, którzy stają na tem rozdrożu i mają zadecydować, czy pójdą w prawo czy w lewo, nie chcę tu narzucać mych osobistych sympatyj, pragnę jedynie możliwie objektywnie zgrupować przesłanki dla ich decyzji, zastanowić się nad złemi i dobremi stronami każdego z tych typów — decyzja zaś zależna być powinna od nastroju, zamiłowania i możliwości osób zainteresowanych. Zamieszczone obok ilustracje powiedzą tu może najwięcej. Porównując nastroje wnętrz starych i nowych, Czytelnik wyczuje w sobie pewien dreszczyk pożądania, pewną oskomę przy oglądaniu jednego lub drugiego typu urządzenia, które zdradzą mu jaki nastrój wnętrza istotnie mu odpowiada, do którego z nich z natury swej jest predysponowany.

Często spotykałem się z pewnem onieśmieleniem w stosunku do możliwości urządzenia się t. zw. antykami. Ludzie uważają ten typ urządzenia za osiągalny tylko dla bogatych znawców. Zupełnie niesłusznie. Wśród starych mebli istnieje bardzo rozpięta skala kosztowności i wykwintu, odpowiadająca różnicom klas społecznych, które zawsze wszak istniały. Przecież za dawnych czasów także były mieszkania wielkich tego świata i skromnej burżuazji i odpowiednie do tego meble. Dlatego bynajmniej nie należy identyfikować mieszkania urządzonego stylowymi meblami z wnętrzem pałacowem. W Polsce jest ciągle jeszcze dużo miłych bardzo, a skromnych mebli antycznych, nadających się do mieszkań ludzi średnio-zamożnych i pracującej inteligencji. Po antykwarjatach lub okazyjnie można sobie te rzeczy kupować, kompletować, potem dawać do naprawy, przyczem ten sposób urządzenia się bynajmniej nie jest droższy niż nowoczesne komplety.

Meble antyczne mają to do siebie, że można śmiało umieszczać obok siebie okazy różnych stylów bez obawy dysharmonji, a wymóg jednolitych garniturów dla całych pokoi jest w tego rodzaju urządzeniach przesądem. Jeśli chodzi o restaurację bardzo nawet zniszczonych gratów, pozornie nadających się do pieca, to czekają tu amatora miłe niespodzianki. Sam widziałem szafę całkiem beznadziejną, z której stolarz za 80 zł. zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego.

Często słyszy się: „nie mam zamiaru mieszkać w muzeum, chcę mieszkać wygodnie". Otóż gadka o niewygodzie starych mebli jest, mojem zdaniem, niezupełnie słuszna. Naogół dawni stolarze mieli dużo zdrowego sensu i umieli dostosowywać kształt mebli do pozycji ciała. Meble te nieraz w rzeczywistości są wygodniejsze, niż na to wyglądają. Co do ich odporności na zniszczenie, to zauważam, że forniry na nich są znacznie grubsze niż nowoczesne i nie odłupują się tak łatwo. Kurz i brud wsiąka w pokrycia starych mebli nie bardziej, niż w pokrycia nowych.



Powyżej: Fragment jadalni (świetlicy)

Poniżej: Miejsce w pokoju stołowym (świetlicy), przeznaczone na bawialnię.



Na jedną rzecz chcę jeszcze zwrócić uwagę: urządzenie się meblami z epoki nie wyklucza zastosowania obok nich wygód współczesnych. Popatrzmy na zdjęcia na str. 18-tej. Jest tam pokój pana i pokój pani. W jednym stoi tapczan zupełnie harmonizujący z całem wnętrzem, a w drugim stylowe łóżko, które przez dorobienie do niego wkładu sprężynowego pokrytego odpowiednim brokatem, jest w ciągu dnia tem samem co tapczan lub kanapa. W ten sposób w myśl naszej zasady oba te pokoje mimo stylowości urządzenia, nie mają charakteru wyraźnie sypialnianego, nie posiadając sakramentalnych łóżek z betami. Wyjaśniam, że wkład sprężynowy we wspomnianem łóżku podnosi się podobnie jak w nowoczesnych tapczanach i pod nim chowa się całą pościel, nawet wraz z dodatkowym materacem, który przy słaniu łóżka kładzie się na wkładzie sprężynowym dla większej miękkości i ciepła tego legowiska.

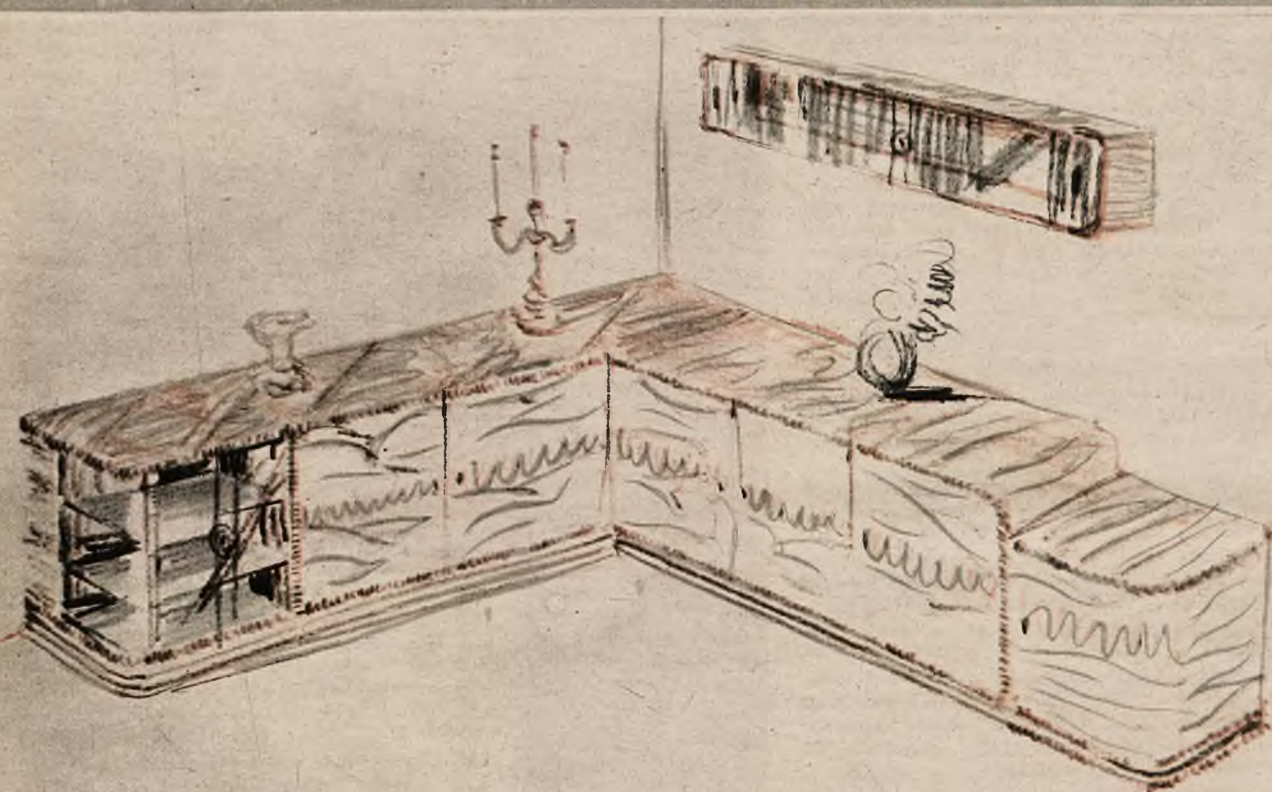
Urządzenie stylowe znosi obok siebie, jak widać z tychże ilustracyj, nowe fotele, całkowicie obite materjałem, wprowadzone do tego wnętrza gwoli wygody, znosi też dekorację ścian obrazami współczesnych malarzy i grafików. Nie trzeba więc pod tym względem przewidywać trudności, które nie istnieją.

Złą stroną urządzenia stylowego jest to, że aby go uzyskać trzeba włożyć w to znacznie więcej osobistego wysiłku, niż w urządzenie nowoczesne. Trudno jest tym sposobem urządzić się naraz, np. w ciągu dwóch do trzech miesięcy. Trzeba sobie te rzeczy zbierać, kompletować, wyszukiwać, trzeba kierować się swym gustem. Mieszkanie narasta tu z czasem w miarę możliwości — od rzemyczka do trzewiczka. W rezultacie jednak mieszkaniec jest z niem związany uczuciowo serdecznymi węzłami, łączącymi zawsze autora z jego dziełem.

Dokończenie na str. 22-ej.

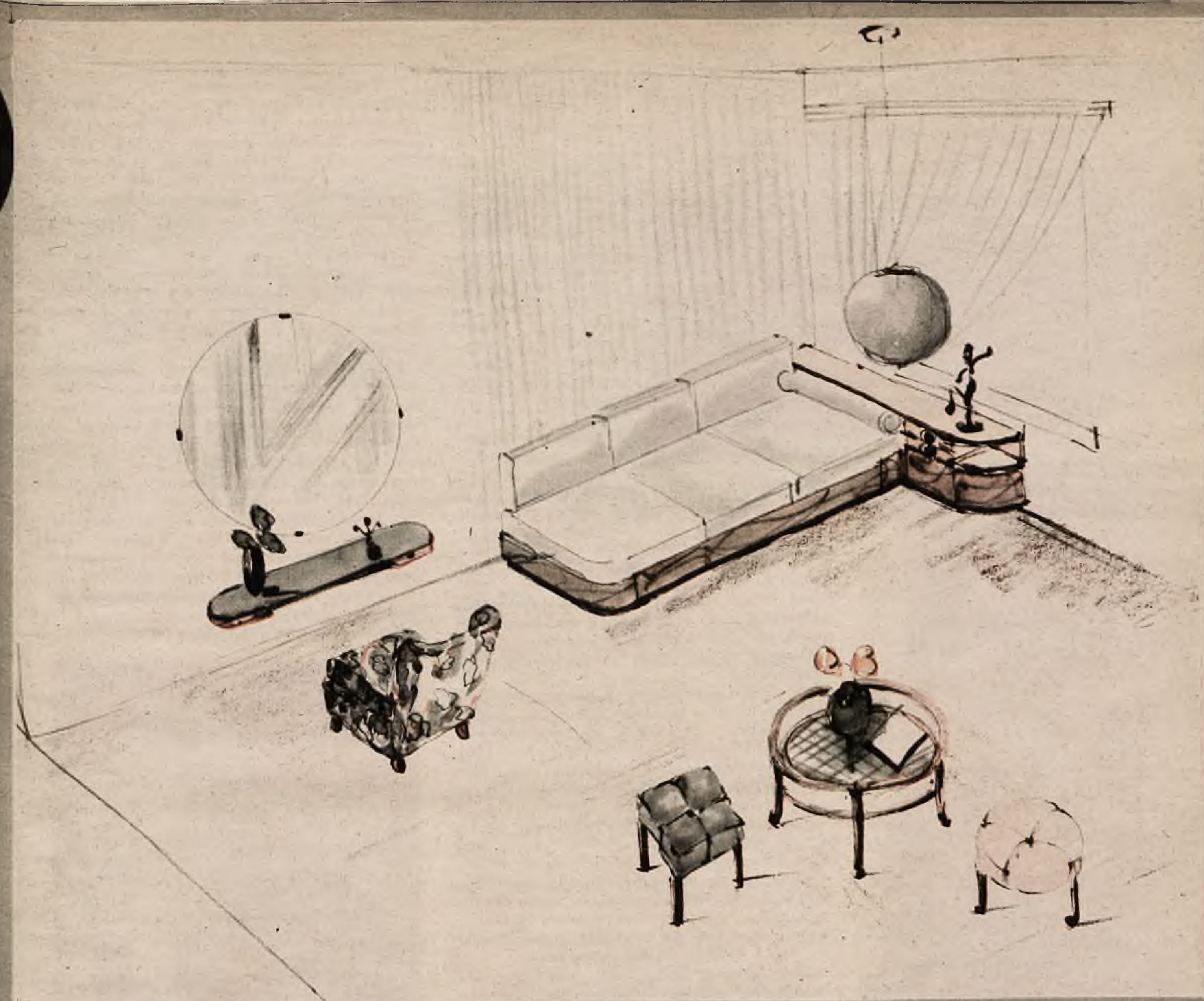
„MEBLE *** NOWOCZESNE?

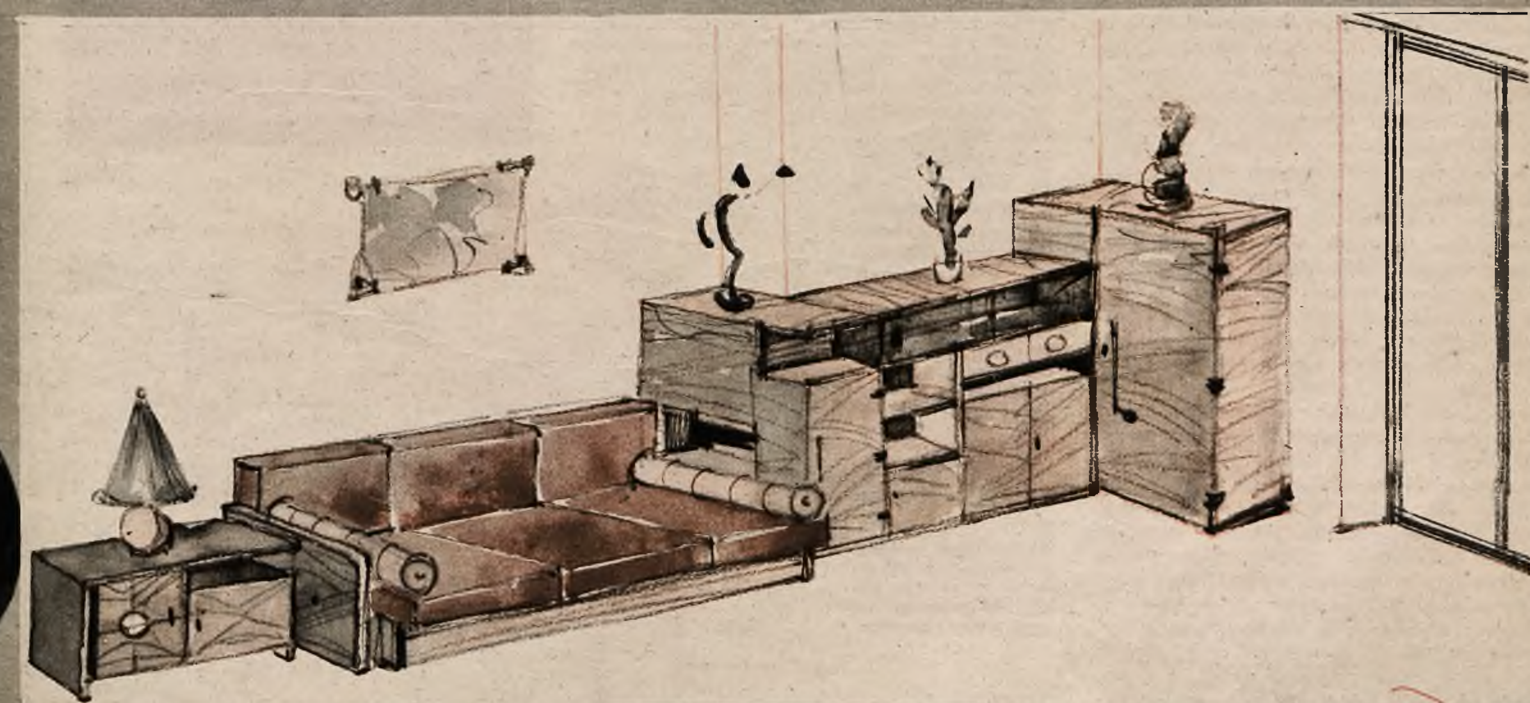
Na p... — Tap-
POKÓJ PA... y łóż-
czan, zast... wane
ko oraz d... aln.
do nieg...





Na lewo
JADALNIA. —
spełniający role
densu, kończy
tryną, oświetlo
wewnątrz





Na p... — Fra-
POKÓJ PA... wiają-
gment, prz... budo-
cy tapczan... szafa
waną do n... q.
kombin...



Na lewo: Model nowoczesnego kredensu z półkolistą witryną.

Poniżej: Kredens w stylu Ludwika Filipa.



Dokończenie ze str. 19-ej.

Nowoczesne urządzenie ma za sobą, jako może najsilniejszy argument to, że w obecnych czasach, gdy ludzie tak mało mają czasu, można tę sprawę rozwiązać od ręki, po prostu zakupieniem paru gotowych garniturów, lub daniem obstalunku architektowi wnętrz, który zaprojektuje wszystko stosownie do naszych wymogów i gustów, oraz dopilnuje wykonania projektów. Pamiętajmy jednak, że jest to sposób ciągle jeszcze bardzo drogi, jeśli nie mamy zamieszkać w tandecie. A tandety nowoczesnej jest masa, wszystkie wystawy sklepów meblowych są nią zawalone. Jest ona szablonowa i nudna, a przytem bardzo nietrwała, o czem należy pamiętać. Przyczyniają się do tego przedewszystkiem bardzo cienkie i łupliwe forniry, choć nieraz niezwykle efektowne jeśli chodzi o tzw. „flader".

Skrytykować tu muszę zasadniczo pewną manierę nowoczesnych mebli, a mianowicie układ słojów we fornirach. Każdy mebel drewniany ma swoją logiczną konstrukcję widoczną dla oka. Wiadomo, że cienki i długi kawałek drzewa, jak np. noga od krzesła, cienka deska, obręcz, rama muszą być wyrznięte w drzewie wzdłuż słoji, gdyż inaczej odrazu rozleciałyby się w kawałki. Naklejanie fornirów na konstrukcyjne drzewo robi się na to, aby mebel miał piękny flader, który trudno byłoby uzyskać w masywnem drzewie. Nie zmienia to jednak faktu, że słoje forniru powinny być zasadniczo zgodne z wewnętrzną konstrukcją. Popatrzmy przez chwilę trochę krytycznie na nogi krzeseł lub foteli nowoczesnych: wszystkie prawie są oklejone fornirem ze słojami w poprzek. Jeśliby rzeczywiście jakiś stolarz wykroił tę nogę z kawałka drzewa w poprzek słojów, to należałoby go zamknąć w domu warjatów. Oczywiście robi to inaczej, ale przez wspomniany sposób naklejania fornirów stara się u nas wywołać wrażenie, że istotnie popełnił to szaleństwo. Sprawa ta ma jednak obok wrażeniowego, także i rzeczywiste oblicze: forniry naklejone w ten sposób odpryskują przy każdem potrąceniu, na co zwłaszcza dolne części mebli specjalnie są narażone.

Wygoda, szlachetność materjału i konstruktywność — to atuty, którymi operuje nowoczesna architektura wnętrza, rezygnując z ozdobności. Tem samem zobowiązuje się do dotrzymania tych obietnic i pod tym tylko warunkiem ma jakąś wartość. O krzesełku Louis XV. można było powiedzieć: wprawdzie jest niebardzo wygodne, ale za to jest prześlicznem cackiem. Co jednak można powiedzieć o nowoczesnym fotelu, jeśli okaże się niewygodnym lub niesolidnie wykonanym? Pozostawiam to Czytelnikowi.

Podobnie jak obok urządzenia stylowego wprowadzać można elementy nowoczesności, tak i w urządzeniu nowoczesnem mogą znaleźć miejsce przedmioty zabytkowe. Odnosi się to przedewszystkiem do obrazów, rzeźb, tkanin, srebra i porcelany. Także stare świeczniki odpowiednio przerobione na elektryczność nie będą razić i bodaj że są jedynem rozwiązaniem, bo stwierdzić muszę, że nowoczesne lampy ciągle są jeszcze bardzo brzydkie, a w Polsce niezwykle trudno dostać coś przyzwoitego w możliwej cenie.

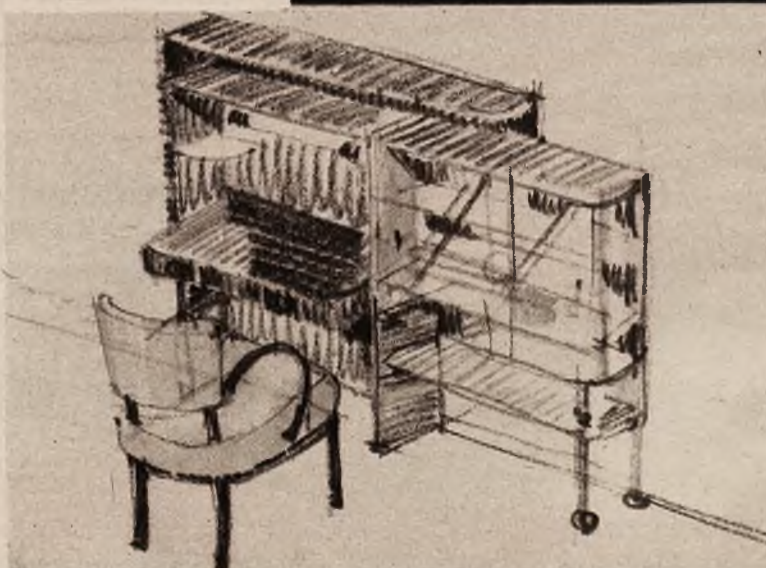
Jeśli chodzi o samą zasadę nowoczesnego urządzenia, to uznać trzeba, że jest to jeszcze jedna forma, w której odbija się nasza współczesność. Każda epoka powinna mieć swój styl. Dlatego życzyć sobie należy, aby styl nasz nowoczesny urobił się jak najprędzej w formie szlachetnej i zajmującej. Narazie dużo w tem jeszcze jest maniery i spekulacji, a rzeczy dobre powstają ciągle jeszcze tylko na wyżynach urządzeń luksusowych, projektowanych przez najlepsze siły. Dlatego też przy urządzeniu nowoczesnem specjalnie zalecić wypada dużą ostrożność i obliczenie się z kosztami.

Powróćmy do urządzenia naszych trzech standardowych pokoi. Pokoje pana i pani powinny skupić te wszystkie meble i przedmioty, które potrzebne są w codziennem życiu ich mieszkańcom. Wygodny tapczan do spania w nocy, a do siedzenia lub drzemki podczas dnia. Szafa garderobiana i bieliźniarka, względnie przy urządzeniach nowoczesnych ich odpowiedniki. Biurko lub stół do pracy, jakieś pomieszczenie na papiery, bibljoteczka podręczna, przynajmniej jeden bardzo wygodny fotel do czytania lub szycia, a jako specjalność pokoju pani — gotowalnia.

Przy ustawianiu tych mebli należy mieć na oku pewne wytyczne. Biurko powinno stać tak, aby światło dzienne padało z lewej strony, ato by prawą ręką przy pisaniu nie rzucać cienia na papier. Tapczan lub łóżko tak, by sypiając na prawym boku być odwróconym do ściany i możliwie tyłem do okna. Szaf nie należy stawiać obok siebie, lecz możliwie jaknajdalej, najlepiej gdy stoją każda na innej ścianie. Wygodny fotel o którym wspominałem ma mieć swoją boczną lampę i stoliczek obok. Gotowalnia pani powinna mieć lustro umieszczone tak wysoko, aby siedząc przed nią mieć je na właściwym poziomie i powinna mieć oświetle-



Biurko pani w stylu Ludwika Filipa.



Na prawo: Model nowoczesnego sekretarza w pokoju pani, oświetlonego od wewnątrz neonem.



Meblując jadalnię (świetlicę), nie powinniśmy zapomnieć, że ma ona nam służyć równocześnie jako salon, (miejsce, przeznaczone na bawialnię).

nie dzienne en face. a sztuczne z obydwóch stron.

Czytelnik zauważy na przykładzie, że jest to możliwe, wystarczy się przyjrzeć wspomnianym ilustracjom na stronie 18.

Przy urządzeniach nowoczesnych (str. 21) widzimy rozbudowanie tapczanu takie, że obok niego w formie skombinowanej mieścić się mogą bibljoteczka, szafki i wysuwane z nich biurko wraz z miejscem na maszynę do pisania.

Przejdźmy teraz do świetlicy. Pokój ten powinien być bezwzględnie duży i mieć możliwie jeden obszerny narożnik. Stół jadalny nie musi stać na środku, raczej należy ten ośrodek pchnąć ku oknu. W pobliżu ustawić należy kredens i szafkę na szkło. Obok wejścia od strony kuchni stolik pomocniczy na postawienie tac i półmisków. W głębokim kącie pokoju urządzić należy ośrodek bawialny świetlicy, któryby nam zastępował salon.

Na stronie 19 znajdzie Czytelnik zdjęcia z tak urządzonej świetlicy; jedno przedstawiające stół jadalny z otoczeniem, drugie kąt bawialny, oba z meblami stylowymi. Przykłady na urządzenie świetlicy nowoczesnej są na stronie 20, 22 i 23.

Dużem uwygodnieniem i rozszerzeniem mieszkania jest stosowane obecnie przez architektów powiększanie przedpokoju do rozmiarów zwykłego pokoiku, nazywanego zresztą szumnie i pretensjonalnie hallem. Trzeba najpierw wiedzieć co to jest naprawdę hall angielski; nie będzie się wówczas stosowało tej nazwy do klitek, będących niczem innem, jak tylko przedpokojami. Jakkolwiek je zresztą nazwać, pomieszczenie to korzystnie jest wyposażyć obok przyborów czysto przedpokojowych w małe urządzenia, nadające im charakter mieszkalny. Kanapka, stolik, parę krzeseł, obrazy na ścianach i t. p. Przedpokój taki nadawać się będzie na poczekalnię, do przyjęcia interesanta, a w czasie większych przyjęć odciąża inne pokoje. Można tam nawet zagrać w bridża (str. 23).

Urządzanie mieszkania jest swego rodzaju sztuką i stąd może ono mieć swe kanony, pewne wskazania zasadnicze, które wedle własnego mniemania ośmielę się ogólnie sformułować. Przedewszystkiem chciałbym zwrócić uwagę na klasyczne prawo symetrji. Należy przy urządzaniu wnętrza wyszukiwać pewne osie, i na środku których staje mebel, stanowiący akcent główny, po obu stronach elementy poboczne możliwie jednakowe. Na ścianie odpowiedniki, a więc w środku większy obraz lub tkanina, przy analogicznem rozwiązaniu motywów pobocznych.



Obszerny przedpokój musi mieć swoje meble.



Stary świecznik przerobiony na żyrandol elektryczny.

Nie należy grafiki i małych obrazków wieszać za wysoko: wszak istnieją na to, aby były oglądane. Tkanin w małych kawałkach nie należy zawieszać na ścianach, gdyż robi to wrażenie małostkowej łataniny: zastosować je należy inaczej, jako nakrycie na małym stoliku, jako ekran przed piecem, ewentualnie jako pokrycie na poduszkę. Popatrzmy na przykłady: i tak na str. 18 zdjęcie pokoju pana; osie idą przez dwa większe obrazy i meble pod niemi stojące, przyczem tapczan potraktowano jako całość ze stolikiem obok postawionym. Grafika japońska rozwieszona symetrycznie i związana ze sobą przez wspólne poziomy. Dalej na str. 19 na dwóch zdjęciach ze świetlicy, oraz na str. 22-ej, na zdjęciu, przedstawiającem biurko pani, zaobserwować możemy rezultaty zachowania przytoczonych wyżej zasad, tak co do osiowości układu i rozmiarów tkanin, jak i co do gradacji w zawieszeniu obrazów zależnie od ich wielkości.

Czytelnik zauważy, że układ tu zalecany nadaje wnętrzu jakgdyby cechy pewnego dostojeństwa i spokoju, nic nie ujmując mu z tak pożądanej „przytulności". Ustrzega nas od wrażenia przeładowania, choć ściany są całkowicie wykorzystane tak co do ich zawieszenia, jak i ustawienia wzdłuż nich mebli. Wreszcie pozwala wyciągnąć maximum walorów z każdego mebla, tak, że wygląda on raczej na coś lepszego, niż jest w istocie, zamiast by to było odwrotnie.

Przestrzegam przed wieszaniem obrazków w fantazyjnych, asymetrycznych grupach, np. skośnie, gdyż jest to pretensjonalna manjera. Taksamo należy bardzo uważać ze skośnem ustawianiem mebli; tylko w bardzo nielicznych wypadkach daje to dobry rezultat!

Pamiętać należy, że mieszkanie bez miłych i ładnych drobiazgów i gracików, bez wazonów z kwiatami, w końcu bez elementów barwnych, jak np. ładne abażury na lampach, robi wrażenie surowe i niezamieszkałe. Nie wynika z tego, by miało być zarzucone lalkami i pajacami, gdyż jest to w złym guście. Duże znaczenie mogłoby tu mieć, gdyby powstał zwyczaj ofiarowywania sobie prezentów bardziej trwałych, jak przedmioty ze szkła, porcelany, lub też ładna grafika, zamiast dawnych aż do znudzenia kwiatów i cukierków.

Wielką przeszkodą w urządzaniu mieszkania jest obecne spekulacyjne budowanie stanowczo za małych pokoi. Są to wnętrza, których przeważnie nie da się w żaden sposób rozwiązać, najwyżej można wstawić tam trochę mebli, a to nie to samo. Żądajmy przy wynajmie mieszkań pokoi o przyzwoitych rozmiarach i nie dajmy sobie zawracać głowy „przytulnością" klitek. Wówczas prawo popytu i podaży zrobi z czasem swoje. Pozatem nie dajmy się sugerować fikcyjną praktycznością szaf ściennych. Są one bardzo pożądane w gospodarskiej części domu i w pasażach — w pokojach przeszkadzają w urządzeniu, zmuszając nas zgóry do ustawień, które mogą nam nie dogadzać.

Oby tych parę uwag okazało się przydatnemi dla naszych Czytelników. Niemcy swego czasu rzucili hasło: „Schmücke dein Heim!" co dało rezultaty. Czas i u nas zawołać do szerokich warstw: „Mieszkaj pięknie!".

Almaviva.



Lampa w pokoju pana, przerobiona z mosiężnego lichtarza.

LAMPY

Dobre i stosowne oświetlenie mieszkania to sprawa, której nie należy niedoceniać. Pamiętajmy, że raz będziemy chcieli oświetlić nasze wnętrze al giorno, tak aby każdą szpilkę móc znaleźć, kiedyindziej znów zależeć nam będzie na oświetleniu nastrojowem. Do pierwszego celu służą wiszące u sufitu świeczniki. Aby unikać światła gryzącego w oczy, raczej należy mieć możność wkręcania w nich większej ilości żarówek, aniżeli musieć stosować żarówki zbyt mocne. Nowoczesne świeczniki w lepszym guście są niezwykle drogie. Można jednak zawsze za stosować świeczniki stare, nabyte okazyjnie i dać je przerobić na elektryczność. Niekoniecznie przytem musi się używać fałszywych świec porcelanowych, które w gruncie rzeczy są ohydne, zwłaszcza, gdy zaopatrzone są w naśladownictwo kapiącej stearyny. Na str. 23 widzimy przykład antycznego świecznika, przerobionego bez fałszów.

Prawdziwą ozdobą mieszkania są boczne lampy. Przy takich lampach nie można jednak czytać ani pracować. Stary typ lamp stojących, to pole do pomysłowości. Nieraz stary lichtarz lub świecznik ludowy (patrz wyżej) dadzą po przeróbce zupełnie miłą lampę; tak samo stare wazony z porcelany lub majoliki (niżej). Abażury, poza jedwabnymi, mogą być najrozmaitsze: z barwnych pergaminów malowanych ręcznie, z papieru, celofanu i płótna.

Poniżej: Lampa w pokoju pani, przerobiona z lichtarza huculskiego.



KWIETNIKI

Słusznie powiedział Andre Lenoitre, twórca renesansu francuskiegó w ogrodnictwie ozdobnem, że „miłość kwiatów — jest wspaniałością kultury ziemi", — i to nietylko kultury ziemi, ale wspaniałością kultury ducha! Bo kwiaty to niewyczerpana skarbnica piękna, nauki i w nich duch ludzki znajduje podniosłe wrażenia i natchnienia.

Hasłem współczesnej architektury wnętrz jest — „więcej słońca, powietrza i światła — więcej wygody, spokoju i piękna". Dostosowane do tego są odpowiednio meble, dekoracje i skromne, ale najwdzięczniejsze kwiaty.

Zgodnie z zasadą estetyki, która wymaga sharmonizowania



kwiatów z sobą i z otoczeniem, staramy się mieszkania nie przeładowywać kwiatami. Rośliny doniczkowe takie jak fikusy, arony, philodendrony, paprocie, lipki pokojowe, są jedynemi, które zawsze harmonizują z wnętrzem mieszkania i ustawione w pobliżu okna na wysokich stojakach lub specjalnych kwietnikach w formie pomysłowo zestawianych półek, wytwornie je przystrajają (patrz rysunki).

Nie umniejszajmy zalet i innych kwiatów. Na podłużnym



kilkoramiennym stojaku przy oknie, pięknie przedstawiają się ciągle jeszcze modne kaktusy, wdzięczne amarylisy i delikatne asparagusy.

Pokoje północne, gdzie hodowla nie wszystkich kwiatów się udaje, przystrajamy kallą, bluszczem lub aspidistrą (żelazne liście), która pięknie się prezentuje na niziutkich stojaczkach.

Roślina to nietylko dekoracja mieszkania, ale jego dusza. Bez niej całe wnętrze tchnie powagą i sztuczną martwotą, a z chwilą wprowadzenia kwiatów — żyje.

Biorąc to wszystko pod uwagę, rzućmy sobie i my hasło na wzór zagranicy: „Hodujmy kwiaty w każdem mieszkaniu". Z. Dr.



Dawne upięcie firanki.

FIRANKI

Pokój bez firanek możnaby porównać z panem nawet starannie ubranym, ale który zapomniał włożyć kołnierzyka. Firanki to jakby kokieteryjne wykończenie urządzenia. Dzisiejsze tkaniny, wyrabiane na ten cel, które nawiasem mówiąc, zestawiane są z dużym smakiem, dyktują ich przeznaczenie. Tak więc do pokoi sypialnych można użyć materyj o bardziej delikatnych wzorach, mających jednak charakter strojniejszy, do świetlicy i gabinetów często używa się zwykłej siatki ręcznie robionej, ozdobionej u dołu frendzlami, zakładami lub pasem z ręcznej koronki.

Dzisiejsza moda dąży do uproszczenia paniom domu problemu ozdabiania okien. Dawniej stosowane festony i podpinania (patrz wyżej) z biegiem czasu okazały się nie tylko mało gustowne, ale i niepraktyczne, a to ze względu na utrzymanie firanek w czystości. Coraz częściej widujemy tak zwane story, to jest firanki z jednego kawałka tkaniny, która zwisa naturalnie w fałdach, wywołanych ściągnięciem u góry.

W pokojach, w których zależy nam raczej na zasłonięciu widoku, przeważnie więc w oknach wychodzących na podwórza, by nie tamować dopływu światła przymocowuje się na dolnych szybach przy pomocy pręcików tak zwane „zazdrostki", t. j. firaneczki, zasłaniające tylko dolną szybę, a zrobione z gęsto namarszczonej, cienkiej tkaniny.

To uproszczenie form ozdób okiennych jest ogromnie przydatne, gdyż nieskomplikowane firanki nadają się do każdego urządzenia, bez względu na styl i charakter wnętrza.

POKRYCIA

Urządzenie wnętrz, projektowane przez architekta-specjalistę, uwzględnia rzecz prosta również i pokrycie mebli. Często się jednak zdarza, że jakkolwiek same meble odpowiadają nam zarówno swym stylem, jak i wykonaniem, pokrycie ich odbiega daleko od tego, co pragnęlibyśmy widzieć u siebie w domu. I wówczas do głosu dochodzi nasz osobisty gust i smak.

Jeszcze w większym stopniu zachodzi konieczność samodzielnej decyzji przy wyborze pokrycia na meble stylowe, wyciągnięte gdzieś z lamusa, potem odnowione i oczekujące na odpowiednie obicie. Zazwyczaj ludzie kierują się wówczas w wyborze materjału wzorem, jaki pozostał z lat dawnych



Pokrycie na meble stylowe (Biedermayer).

na tych meblach. Jest to niewątpliwie najmniej niebezpieczne, ale rzadko kiedy możliwe do zrealizowania. Nie wolno bowiem zapominać, że dzisiejsze materjały, choć naśladujące stare tkaniny fakturą i deseniem, w nielicznych tylko wypadkach uwzględniają i inne cechy dawnych



Pokrycie na meble nowoczesne

pokryć, a to odpowiednią grubość — trwałość kolorów itd.

Ważnem jest również zorjentowanie się, czy dany deseń i jego barwa harmonizować będą z pokryciem innych, np. nowoczesnych mebli, które mogą być kombinowane ze stylowemi. I jak w szeregu innych analogicznych wypadków, tak i tu artystyczne wyniki zależeć muszą tylko od naszej kultury i dobrego gustu.

UKŁAD I OPRACOWANIE: JULJUSZ LEO ● PROJEKTY: ARCH. EDMUND NOWAK ● ZDJĘCIA: JAN SZWEDO

Szczęście

WANDA DE RICHE

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Żyli ze sobą źle. On twierdził, że zawiódł się na swej żonie i jego gorąca miłość nie spotkała się z wzajemnością, ona zaś miała głębokie poczucie krzywdy. Nie łączyło ich nawet dziecko, siedmioletnia Elżunia, rozkoszny, błękitnooki aniołek, którego szczebiotanie wywoływało uśmiech na twarzy matki, nie umiejącej radować się już oddawna. Ilekroć dumała, osamotniona, siedząc przy robótce, ilekroć w oczach jej pojawiały się łzy, dziewczynka, wiedziona dziwnym instynktem, przybiegała do matki, wdrapywała się na kolana płaczącej i pocałunkami budziła do życia cienie radości, skryte gdzieś w głębi zbolałej, rozżalonej duszy. A kiedy, klaszcząc w ręce, zapewniała ją, że tatuś zaraz powróci i opowie im historyjkę o brzydkich karłach i cudownej księżniczce, jak to bywało dawniej— oh, znów radośnie do serca biednej Marji kołatała nadzieja. Zaczynała się łudzić, że może, naprawdę coś się zmieni, że miną chwile udręki, a w progi ich domostwa wstąpi znowu upragnione szczęście.

W ciągu długich godzin, spędzonych na rozmyślaniach, Marja zastanawiała się często, co stało się powodem rozdźwięku w jej małżeństwie. Henryk, kochający ją, jak się zdawało gorąco, przeobraził się stopniowo, prawie w oczach, w człowieka zamkniętego w sobie, gderliwego, zniechęconego, rozgoryczonego do wszystkich. Kiedy, uniesiony gniewem, obsypał ją raz wyrzutami, nazywając zimną, bezduszną istotą, nie umiejącą okazać miłości, uważała to za obelgę. Ale zastanawiając się w ostatnim czasie coraz częściej nad jego słowami, przychodziła zwolna do przekonania, że wina leży także po jej stronie. Henryk ożenił się z nią z miłości, dał tego liczne dowody w czasach narzeczeństwa, a ona... Tak, jeszcze w gimnazjum nazywano ją pięknością bez serca, manekinem, dającym się tylko podziwiać.

Nie! To nie była prawda! I ona kochała męża gorąco. Kochała do dzisiejszego dnia. Być może, że nie umiała tego okazać, że poczucie fałszywego wstydu, może nawet pruderji, tłumiło w niej wszelkie porywy namiętności. I duma, ta przeklęta duma, która nakazywała cierpieć w milczeniu, prawie z pogardą, przekształcała ją niekiedy w bryłę lodu. Czy ty nie masz serca, kobieto? — pytał ją czasami Henryk, a ona nie umiała zdobyć się na nic innego poza zdziwieniem.

Tak jest: ona sama odepchnęła męża od siebie, przyczyniła się do wykopania dzielącej ich przepaści, dzięki swej nadmiernej dumie i sztucznej obojętności, do których przywykła od lat w stosunku do otoczenia. Ona była przyczyną, że Henryk rozpoczął hulaszcze życie w gronie kolegów, że wracał do domu podchmielony, budząc w niej odrazę. Pijak! Jakżeż mogła być dla niego czułą.

Zczasem pogodziła się jednak z tym trybem bytowania i zajęła się wyłącznie dzieckiem. Mąż był dla niej czemś przykrem, straconem bezpowrotnie. Chyba cud mógłby ich zbliżyć i połączyć na nowo!

W dzień wigilijny Henryk wymknął się znowu na miasto. Nadarzała się sposobność spędzenia kilku godzin w wesołem towarzystwie. Wyszedł z domu, nawet nie żegnając się z żoną. Ta bezduszna lalka i tak o mnie nigdy nie dbała! — pomyślał, biorąc kapelusz. A kiedy służąca zapytała go, o której wróci godzinie, odpowiedział, wzruszając ramionami: — Nie czekajcie na mnie z wieczerzą. Mała musi iść spać wcześniej, a ja może pozostanę w mieście do późnego wieczora.

Ta ucieczka z domu była właściwie ucieczką przed żoną, buntem przeciw tej, którą dawniej kochał, a która wyrzekła się go bez walki. Zbliżająca się wigilijna wieczerza mogła przyprawić go tylko o zakłopotanie lub zniechęcenie, wykazać w drodze porównania, jak obcym był dziś w domu, który stworzył, a który żona nie umiała, czy nie chciała uczynić mu drogim. Elżunia! Tak, do dziecka był bardzo przywiązany. Obsypywał je podarkami, a czasem zadręczał nieomal pieszczotami. I tego roku kupił dziewczynce wspaniałe zabawki, ale zlecił żonie, aby wręczyła je dziecku pod drzewkiem sama. Obawiał się swoistego, „familijnego" nastroju, do którego nie mógł się zmuszać, nie chcąc grać komedji czułości wobec Marji. Przecież w miłość jej przestał wierzyć już dawno! Lepiej dziś w dobranem towarzystwie spędzić przynajmniej kilka godzin i zapomnieć o tem, co boli.

Jasno oświetlone okna kawiarni, w której czekało na niego grono kolegów, sprowadziły myśli jego na inne tory. Przyspieszył kroku i znikł w drzwiach, wiodących do kawiarni.

Było już około dziesiątej, kiedy opustoszałe sale kawiarni przypomniały mu znowu dom i rodzinę. Ogarnął go żal, a potem gorycz. Trzeba było wracać, może tłumaczyć się, czytać w twarzy żony obojętność lub pogardę, grać komedję człowieka, któremu ostatecznie jest już wszystko jedno. Wspomnienie pierwszej spędzonej z Marją wigilji, przyprawiło go o chwilę rozczulenia. Tak, dawniej była jakaś inna. A może on był inny? Przed oczyma stanęła mu żona w tej szczęsnej chwili, kiedy dowiedział się o jej bliskiem macierzyństwie. Jakże piękną była wówczas! Jakież wzruszenie wyrażała jej zarumieniona twarz, jej drżące usta! Zdawało mu się, że słyszy jeszcze słowa, które zapadły tak głęboko w jego serce: Jestem szczęśliwa, Henryku! Tak bardzo szczęśliwa! Nie będziemy już sami, najdroższy! To było przed siedmiu laty. A dziś?... Dziś wbrew twierdzeniu żony, był jednak sam, tak bardzo sam na tym świecie!

Cóż się stało takiego? Co sprawiło, że oboje zobojętnieli dla siebie i że dziś widział w Marji tylko piękność bez serca?

Westchnął z cicha. Poco wspominać chwile szczęścia, które już nigdy nie wrócą? Nie darmo mówili pesymiści, że małżeństwo raczej dzieli, niż łączy.

Włożył płaszcz i wyszedł na ulicę. Każde oświetlone okno, każdy urywek śpiewanej kolendy przywodziły mu teraz na myśl dom... jego dom, w którym był jakby intruzem. Zapewne Marja spożyła już wieczerzę wigilijną, a Elżunię ułożyła do snu. Przyjdzie na czas. Pocóż się spieszyć? I tak nikt na niego nie czeka.

Minął plac, na którym stał wysoki świerk, obwieszony świecidłami i przystrojony płonącemi lampkami elektrycznemi — symbol Bożego Narodzenia. Skręcił w zaułek, przy którym znajdowało się jego mieszkanie. Prawie z radością stwierdził, że brama kamienicy nie była jeszcze zamknięta. Wyszedł po schodach na drugie piętro, otworzył cicho drzwi kluczem i wślizgnął się do przedpokoju.

Drzwi od kuchni były zamknięte. Służąca układała się do snu, nucąc jakąś kolendę. Przeszedł na palcach przez oba pokoje gościnne i zatrzymał się za drzwiami jadalni, usłyszawszy głosy. Marja tłumaczyła coś córeczce, która odpowiadała jej cichutko. Henryk począł nadsłuchiwać.

— Tak, maleńka — mówiła Marja. — Tatuś kocha nas bardzo. I my kochamy tatusia. Dla mnie, widzisz, jest on wszystkiem na ziemi, gdyż nie znajdziesz lepszego i szlachetniejszego człowieka. A Ty, jesteś jego słonkiem na niebie...

— A czemu płaczesz, mamo? — zapytała dziewczynka. — Przecież mówiłaś, że tatuś musiał wyjechać i nie wiadomo, czy wróci na wigilję...

— Płaczę — zabrzmiał znowu głos Marji — gdyż chciałabym, abyśmy byli dzisiaj razem. Chciałabym, aby wiedział, jak go kochamy... jak go kochasz ty i ja...

— A czego nie powiesz mu tego, sama? — odezwało się dziecko. — Ja mu to przecież ciągle powtarzam...

Nastała chwila milczenia. Nagle odezwało się szlochanie. Henryk uchylił drzwi.

— Chciałabym... — mówiła. — Chciałabym powiedzieć mu to w tej chwili... w tę świętą noc, kiedy nie wolno kłamać i kiedy musiałby mi uwierzyć... Kocham go bardzo, dziecinko... Bardzo... Więcej, niż sobie wyobrażasz...

Odwróciła się, słysząc szmer. Jedno spojrzenie w błyszczące oczy męża, pełne radości i szczęścia, a zasnute teraz mgłą rozrzewnienia, pouczyło ją, że dokonał się cud, o którym nawet nie marzyła. Z twarzy jej spadła maska przymusu. Czegoż miała się wstydzić? Przecież serce jej należało zawsze do Henryka, przecież tęskniła za nim przez całe życie! Wyciągnęła ręce do męża, a znalazłszy się w jego uścisku, przytuliła głowę do jego piersi. W progi ich domostwa wstąpiło znowu szczęście, które jeszcze przed chwilą wydawało się jej nieosiągalne.

Elżunia przyglądała się przez chwilę, zdziwiona, tej nieoczekiwanej scenie, widząc jednak, że matka płacze z radości i wzruszenia, przybiegła do niej i skryła twarzyczkę w fałdach jej sukni. Nie wiedziała, co się stało, ale w tej niezapomnianej godzinie, której doniosłość oceniała instynktownie swem maleńkiem serduszkiem, chciała być blisko swych najdroższych, tak blisko, aby o niej nigdy nie mogli zapomnieć.

Do spóźnionej wieczerzy wigilijnej zasiadło troje najszczęśliwszych na świecie ludzi...

A kiedy nazajutrz śpiewane przez wiernych w kościele kolendy głosiły zebranym ziszczenie się cudu Nocy Wigilijnej, przepełnione radością serce Marji dziękowało Nowonarodzonemu za ten największy cud w jej życiu, cud odzyskanej miłości.

... chwili cały oddział mijał bramę w ostrym kłusie.

Pan Ignacy jadąc na czele tarł skroń, na której kula włosy mu opaliła.

— Przeklęta baba! — mruczał zły i niezadowolony z tej przygody. — O włos, a byłby tu życie zakończył z ręki tej pomylonej — tfu! — splunął za siebie z obrzydzeniem.

Gdy już las minęli — skinął na Babiczyka i polecił mu od wziętych w niewolę kozaków dowiedzieć się co zacz ta „gerojka".

Po chwili Babiczyk wrócił i meldował:

— Panie kapitanie to niejaka Brenicewa, żona popa. Kozacy mówią, że ona święta. Nawoływała lud do palenia wszystkiego, aby „antychryst" Napoleon zczezł czemprędzej.

— Tak — odpowie za to przed sądem wojennym.





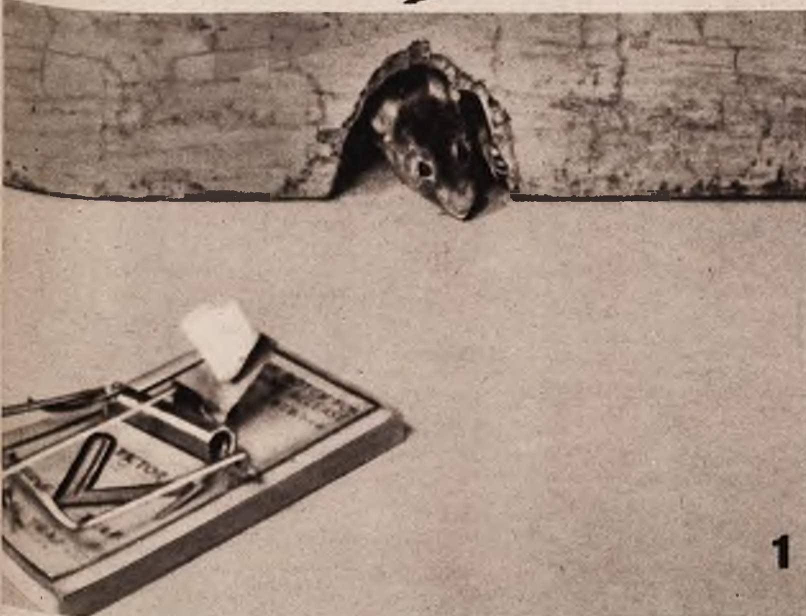
Po przyjeździe do obozu Brenicewę wraz z kozakami odesłano w tył. Niech w komendzie o nią się martwią. Ponieważ do bicia się brała — pan Ignacy kazał ją związać. Frukalskiemu przypadła niesławna funkcja konwojowania tej wściekłej baby.

Ruszyli o świcie. Pan Ignacy zły, że to baba na niego zamach robiła (wieść szybko o tem po kompanjach poszła!) a Babiczyk kontent, bo jedzenia było na parę dni.

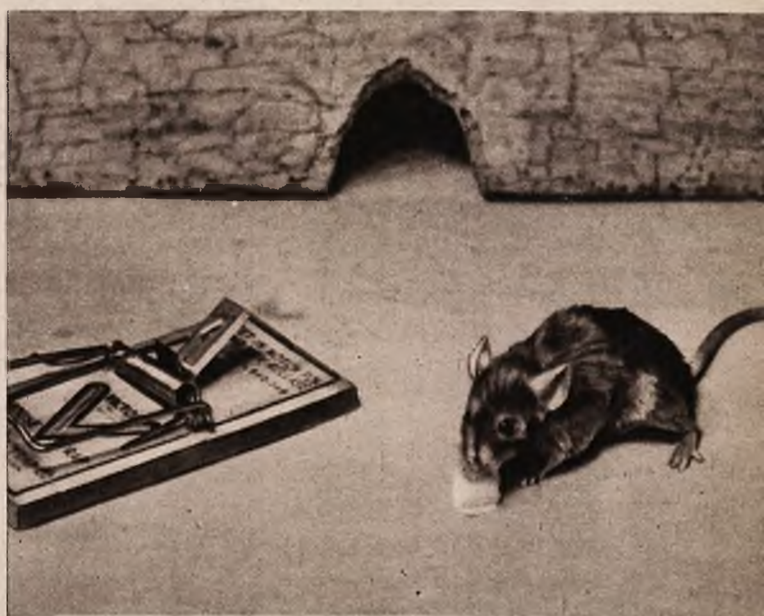
Wiadomości nadeszły, że Płatow po bitwie pod Mirem cofając się za Bagrationem udał się pod Romanów. Parli zatem dalej i dalej tym wielkim rekonesansem w spalony kraj, co pary w koniach. Cesarz tak chciał.

Przygoda myszki

Historja nieprawdopodobna a jednak prawdziwa



1





2





3

Myszkę, aby wyszła z jamy,
wonią słoninki zwabiamy.

Choć na słoninkę ma chrapkę,
ale węszy też pułapkę.

Więc leciutko, zręcznie, ładnie
tłusty kąsek sobie kradnie.

Ocaliwszy mysie życie,
konsumuje smakowicie.

I do jamy wraca żwawo —
brawo, mała myszko! brawo!

WITEK.



KOLENDA

Boże Dziecię w żłóbku leży...

Słowa: MARJA PARUSZEWSKA

Muzyka: MICHAŁ ŚWIEŻYŃSKI

VIVO NON TROPPO.

Bo-że Dziecię wżłób-ku le - ży Uśmie-cha się do pa-ste-rzy Co przy-nie-śli Pa-nu da-ry Na ja-kie ich stać o - fia - ry.
Patrzy nam Dzie - ci - na Święta I wy-cią-ga swe rą-czę-ta Tak się ba - wi kędziorka - mi Ja-kby i-grał z a-nioł - ka - mi.

Je-den dał o-wieczkę ma-łą wstą - żeczkę na szy-ji bia - łą Na niej dzwonek zawieszo-ny By rozbrzmiewał na wsze stro-ny.
An-tek z fu-ja - rą na przedzie Or - kiestro-wy rej tu wie-dzie A Je-zu-sek ma-ły słu-cha Jak ko-len-dę rżnie od u-cha.

a tempo

Pacholę - ta znów śpiewa-ły A - że-by nie pła - kał Ma-ły Od tej chwi - li Bo-że Dziecię O-pie-kunem ich na świe-cie.





dziński i dyrektor Arnold Szyfman. Całość opracował reżysersko Kazimierz Rudzki, który też ułożył wszystkie teksty i bardzo dowcipnie prowadził konferansjerkę, wspomagany przez znanego z występów radjowych Henryka Ładosza oraz radcę Wiktora Podoskiego z MSZ, występującego pod pseudonimem „Wipo".

Uczestniczyli w pokazie znani artyści: Karolina Lubieńska, Janina Niczewska, Marja Żabczyńska, Jerzy Pichelski, Tadeusz Kański, Jacek Woszczerowicz, tańczyła Loda Halama, a śpiewała Anna Borey.

Ponadto modelkami i modelami byli wychowankowie Instytutu Reduty, Państwowego Liceum Odzieżowego oraz panie z towarzystwa. Wszyscy pospieszyli z gotowością, ponieważ pokaz zorganizowany był przez Koło Pań przy Komitecie Organizacyjnym Narciarskich Mistrzostw Świata „FIS" na

Na lewo: P. Grażyna Pacińska i p. J. Fidziński w strojach narciarskich.

Na prawo: P. Karolina Lubieńska w futrze z białych breitschwanzów, przybranych tumakami i konferansjer p. H. Ładosz.

Zdjęcia: Magazyn „As".





P. Marja Żabczyńska w kostjumie, opartym na wzorach huculskich.



Fragment pokazu w Teatrze Polskim: Bridż w schronisku.

POD ZNAKIEM

F. I. S.

Ostatnio odbył się w Teatrze Polskim w Warszawie „pokaz polskiej mody sportowej i niesportowej" w 5 obrazach, których akcja rozgrywa się: w przedziale wagonu Warszawa-Zakopane (stroje podróżne), na Krupówkach (spacerowe stroje sportowe), w schronisku (sportowe stroje turystyczne), na trybunach pod skocznią (futra sportowe), na rewji mody w „Café Fis" (stroje wieczorowe i balowe).

Pokaz stał się wielkiem wydarzeniem towarzyskiem. Atrakcyjność widowiska i cel dobroczynny spowodowały, że widownię wypełniła szczelnie doborowa publiczność, specjalnie przybyła ze wszystkich stron Polski.

Pokaz przygotowano niezwykle starannie pod egidą komitetu artystycznego, złożonego z takich „asów", jak Juljusz Osterwa, Antoni Cwoj-



Na lewo: Młodzież Instytutu w stylizowanych kostjumach narciarskich.

dochód Komitetu „Osiedle", pozostającym pod protektoratem Marszałkowej Piłsudskiej, a opiekującym się najbiedniejszemi dziećmi.

Przez trzy godziny przewijały się na scenie najwspanialsze kreacje mody sportowej i balowo-wieczorowej, prezentowane przez wspomniane osoby. Huragan oklasków zerwał się w chwili, gdy na scenie zjawili się Marusarzówna, Orlewicz, Gąsienica i Wnuk, przystrojeni w dressy narciarskich mistrzów Polski.

Pokazy były przeplatane zabawnemi scenkami w wykonaniu wspomnianych artystów i bardzo dowcipnymi djalogami obu zapowiadaczy. Przed każdym obrazem zaś radca „Wipo" wygłaszał krótkie objaśnienia w języku francuskim.

H.

Wilja
W NOWOCZESNYCH RAMACH

Epoka powojenna wytępiła wiele staropolskich tradycyj, jako przestarzałe, niewygodne, zbyt kosztowne — lub poprostu niepotrzebne. Brak szacunku dla tradycji, to jedna z charakterystycznych cech naszych czasów.

Ale jest jedna tradycja, która ostała się zwycięsko, niemal nienaruszona: jest nią wieczerza wigilijna przy drzewku. Za wyjątkiem nielicznych, którzy wolą zamknąć dom na cztery spusty, spakować plecak czy kuferek i uciec na święta do Zakopanego czy Poronina — większość Polaków i dziś jeszcze do wigilji przywiązuje wielką wagę, nietylko zwyczajową, ale w pierwszym rzędzie uczuciową. To święto rodzinne, święto zbratania i pojednania, święto wspominków i radości, obchodzone jest u nas z pietyzmem nawet przez najbiedniejszych.

Idziemy w wieczór wigilijny ulicami miasta: noc już zapadła i wiele gwiazd zajaśniało na mroźnem niebie. Z każdego niemal okna, nawet z niskich okien suteren bije łuna rzęsistych świateł: to drzewko płonie tysiącem barw i płomykami różnokolorowych świeczek. Poprzez zamknięte okna słychać śpiewy: w głuchą pustkę wyludnionych ulic płynie radosna pieśń: „Wśród nocnej ciszy". Możnaby zapomnieć niemal, że tylu jest samotnych, tylu nieszczęśliwych, chorych i smutnych, tylu głodnych i bezdomnych. Ma się wrażenie, że w ten wieczór jedyny, wieczór wigilijny radują się wszyscy!

I tak być powinno. Wilja to święto czysto rodzinne, ale każdy dom powinien na nią przygarnąć kogoś samotnego czy bezdomnego, aby radością swoją dzielić się nietylko z egoistycznem kołem najbliższych. W wielu domach zaprasza się gościnnie szereg osób, tak, że wilja przybiera wygląd uroczystego przyjęcia, a nie tylko rodzinnej wieczerzy.

Dla pani domu urządzenie wilji to problem emocjonujący i ważny. Tradycja wytycza ogólne ramy, ale każdy modyfikuje je i urozmaica indywidualnie, dostosowując jej urządzenie do swoich gustów i możliwości. W tych tradycyjnych ramach jest miejsce na rozmaitość pomysłów, tak w nakryciu stołu, przybraniu choinki, jak i w menu samej wieczerzy.

Dawny zwyczaj podawania na wilję

1



2



3



Dorosła panna wybierze: 1. suknię z siatki tiulowej, lub 2. kombinowaną z jedwabiu i tiulu. 3. Zgrabna sukienka dziecinna układana w fałdy.

kilkunastu nieraz potraw uległ zapomnieniu. Higjeniczna epoka dzisiejsza nie uznaje takich popisów żarłoczności, w dodatku niewielu ludzi stać na tak wystawne menu. Ogranicza się je do czterech, najwyżej pięciu dań, zachowując te najbardziej dla wilji charakterystyczne: barszcz lub zupę rybną, gołąbki z grzybkami lub kluski z makiem (które nie wszyscy jednak lubią), jedno lub dwa dania rybne, kompot z suszonych owoców i jakiś deser, którego rolę we wschodniej Małopolsce spełnia tradycyjna „kutia". Wilje wystawne składają się i dziś jeszcze z większej ilości potraw, szczególnie na wsi, gdzie na jedzenie kładzie się wciąż jeszcze większy nacisk jak w mieście.

Nakrycie stołu powinno zachowywać tradycyjny charakter wigilijny, ale możemy go urozmaicić różnemi estetycznemi i oryginalnemi ozdobami. Prócz pięknej zastawy i sreber, ładnie dekorują go kolorowe świece w nowoczesnych albo ludowych lichtarzykach, gałązki choiny lub jemioły, wstęgi kolorowego papieru, złote gwiazdki ze stanioli, t. zw. „włosy anielskie" itp. Na większym stole dobry efekt daje ustawienie kwiatów i płonących świeczek na tafli lustrzanej, w której światła ich się odbijają. Tak nakryty stół może mieć styl zupełnie nowoczesny, mimo tradycyjnego charakteru.



Jak ubrać się do wilji? To problem rozwiązywany u nas w najróżniejszy sposób: niektórzy są zdania, że w ścisłem kółku rodzinnem niema sensu „sadzić się" na tualety. Zapominają, że to najuroczystszy wieczór w roku i że warto zadać sobie w tym kierunku odrobinę trudu, mimo że nikt obcy nie będzie nas podziwiał. Do wystawniejszej wilji najodpowiedniejszą będzie jakaś „robe de dîner", długa z rękawami, o ile możności nie czarna, dla mężczyzn zaś smoking. Młode panienki i dzieci powinne ubrać się jasno i strojnie, ale niezbyt wyszukanie. Pastelowa sukienka z tiulu, żorżety lub lekkiego jedwabiu o skromnym kroju będzie najodpowiedniejszą. Babcie, nawet najstarsze (jest ich coraz mniej!) powinny również zaakcentować w swym stroju uroczystość wieczoru, aby podkreślić jego odświętny charakter.

Przybranie drzewka może być prawdziwem polem do popisu pomysłowości i smaku: powinno być suto przybrane i efektowne, ale należy unikać przeładowania i tandetnej ozdoby. Tyle jest estetycznych cacek, wyrabianych przez różne szkoły rzemiosł i przemysłu artystycznego, drobiazgów o motywach ludowych, że nie powinno się kupować brzydkich fabrycznych ozdób. W domach, gdzie są dzieci, nie powinno braknąć na drzewku także i ozdobnie opakowanych smakołyków. Podarki układa się pod drzewkiem, zawinięte w białe lub kolorowe bibułki, przewiązane wstążeczką lub złotym sznureczkiem, za który zatyka się gałązkę choiny lub jemioły.

Na to, aby całość wypadła ładnie i okazale, każdy drobiazg powinien być starannie obmyślony i wykończony i dopiero wtedy całokształt wigilijnego wieczoru wypadnie harmonijnie nietylko jeżeli chodzi o nastrój, ale też z punktu widzenia estetyki.

Lady Like.

1 2 3 4

Pani domu włoży na wilję: 1. skromną, a jednak odświętną suknię stylizowaną, lub 2. długą z czarnego aksamitu. Na skromniejszą wilję nadaje się skromniejsza suknia popołudniowa: 3. przymarszczona z miękkiego jedwabiu, lub 4. gładka, przybrana haftem. 5. Dla małej dziewczynki wybierzemy sukienkę z różowej żorżety, ozdobioną plisami i kokardami ze wstążki.

RYSUNKI: EWA LEO

CHOINKI Z DAWNEGO ŚWIATA

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

SZKIC

To było w Dyniskach.

Nie tak wiele minęło lat, ale zdarzeń przeleciał mnóstwo, jakby wichurą pędzone śniegi podczas zadymki zimowej.

W Dyniskach poza oknami błyszczał śnieżny park w jarzącem się, jakby zamarzniętem słońcu. Chochoły stały powyginane fantastycznie. Na gazonie olbrzymie dęby, okryte osędzielizną, rozpościerały opiekuńcze skrzydła ponad dworem.

W innych oknach rodzinnego domu ukazywały się zielone świerki, tuje i sosny z perełkami lodu na szpilkach, modrzewie w szatach śnieżystych, jak królowie w gronostajach.

Tam z pewnością kończyła się owa ścieżka z nieba, o której opowiadała piastunka. Tamtędy przed wieczorem miał przybyć zwiastun niebieski.

Co kilka chwil biegłem do okna popatrzyć, czy już nie idzie.

Cały dzień trwało radosne oczekiwanie i niepewność. Zapadał świąteczny wieczór. W pokojach było uroczyście. Zegar na kominku połyskujący złoceniami opowiadał długą niezwykłą baśń, w której łączyły się wszystkie baśnie, jakie mi przedtem mówiła piastunka. Szumiał samowar, dziwiąc się historji, która się plotła w chwilach wyczekiwania na wielką niespodziankę.

Tylko duży pies, leżący u moich nóg, niczemu się nie dziwił. Przypatrywał mi się z powagą, gdy dłonie zanurzyłem w jego kudłatej sierści, a gdy zdradziłem mu, że dzisiaj wyjątkowo o północy będzie mógł mówić ludzkim językiem, mrugnął bez przejęcia powiekami, niby odpowiadając mi spokojnie:

— Być może.

Gwar dochodził z dalekich pokoi, z kredensu i z kuchni. Cisza była zato obok, za zamkniętemi drzwiami, tajemniczo trwała w tamtym pokoju, gdzie miał się zjawić świetlany gość i przynieść drzewko czarowne.

Kiedy już ustawi je i przygotuje wszystko, wtedy zadzwoni.

Będzie to znak, że drzwi można otworzyć. Czy jednak sam się pokaże? Dlaczego właściwie nie mógłby zostać? Wszak znałem go.

Było coraz dziwniej i piękniej.

Z portretów spoglądały na mnie poważne twarze, z dalekiego wspaniałego świata. Wiedziałem, że to są moi przodkowie, którzy strzegą mnie i błogosławią mi, gdy rosnę pod ich zaświatową strażą. Z pośród ram błyszczały mundury, epolety i lampasy. Barwy ich cieszyły mnie. Wiedziałem, że to są barwy święte, bo gdy wskazywano mi portrety, mówiono jak o świętościach.

Za oknami w błękitnych śniegach odbijała się pierwsza gwiazda.

Wiedziałem napewno, że przyjdzie; w tym czasie jeszcze nikt mnie nie zawiódł.

W stołowym pokoju stały już w kątach cztery snopy zbożowe i rozesłano na stole pod obrusem dużo szeleszczącego siana.

Na kominku trzaskały grube polana. Iskry sypały się i sypały, coraz bardziej czerwone, świecące, żarliwe, sypały się rzęsiście, jakby z gwiezdnych rejonów, z tej krainy cudów, która mnie otaczała.

Uśmiech matki zakołysał się jak rajski ptak.

Nadeszła babka Izabella. Gdy teraz przechodzi w pałacu Boga, idzie z tą samą powagą i godnością, jak dawniej w Dyniskach, z tym samym gestem dobroci, z wyrazem szlachetności w uduchowionej twarzy, w mądrych, głębokich oczach.

Serce mi zabiło. W drugim pokoju rozległ się głos dzwonka.

Anioł zadzwonił.

Otworzyły się drzwi i w oszołomieniu ujrzałem rozświetloną choinkę, wysoką pod sufit i wydało mi się, że to sam promieniejący duch nieba ukazał mi się w rodzinnym domu.

II.

W stolicy przed Bożem Narodzeniem wystawy wielkich magazynów podobne były do miraży, a w sklepach zabawek piętrzyły się kolorowe groty, w których działy się rozmaite niezwykłe rzeczy.

Zakupy przedświąteczne stanowiły prawdziwą atrakcję. Towarzyszyliśmy matce.

Słodycze dostawiała jedna narożna cukiernia na jednej z głównych ulic, gdzie na wystawach stały duże, jakby lakierowane ciastka, a wewnątrz lokalu wśród świecących kryształów uwijała się panna z dużymi rumieńcami i misterną fryzurą.

Ta panienka, szczupła i zgrabna, zdawała się wcale nie ulegać zmianom czasu. Można było mniemać, że jest z porcelany. W zimie, jak i w letnich miesiącach, rok w rok, miała niezmienne rumieńce i niezmienną fryzurę, wyraz uprzejmości na ładnej twarzyczce bez zmiany, a na pożegnanie powtarzała z uśmiechem i nieodmiennym głosem:

— Całuję rączki szanownej pani!

Gdy po latach poszedłem do tej cukierni, doznałem dziwnego wrażenia. Za kryształowemi szybami stała znana mi z dawna panienka o szczupłej figurze, a wiek nie zniszczył jej twarzy. Czas nie doświadczał jej, raczej igrał z nią.

Nic dziwnego, że już wówczas zdawało mi się, że ona jest z porcelany. Odbierała zamówienie, a popołudniu przynoszono nam tort hiszpański w okrągłem pudle, podobnem do pudeł od kapeluszy damskich. Tort hiszpański zawsze nas, dzieci, mocno zaciekawiał. Był wykonany bardzo misternie. Wyobrażał zamek średniowieczny, z blankami i krużgankami, każda baszta miała okna i śpiczasty dach.

Każdy błyszczący przedmiot z przedświątecznych zamówień miał w sobie urok niebieskich migdałów, które widziałem na ilustracji w książce z tysiącem opowieści. Migdały rozsiane były po niebie, a wśród nich, śpiąc, unosiła się królewna. Znaczyło to, że królewna śniła o niebieskich migdałach.

Choinka była również z tego kraju czarownej baśni, a równocześnie w migocie lekkich kul i w zamieci blasków sączyła zapach lasu ojczystego.

W pierwsze święto przyszła do nas mała nasza towarzyszka, Atti, która mieszkała o piętro wyżej. Była to córeczka generała, który miał bladą, rasową twarz i siwe włosy, oraz młodą żonę.

Atti pod jedną ręką trzymała niedźwiedzia a pod drugą lalkę. Sama była również całkiem podobna do lalki, z dużemi oczami i okrągłą buzią, z wielkiemi sztywnemi kokardami we włosach. Przyszła przedpołudniem, wiedziona ciekawością, jak wygląda nasze drzewko i jaki smak mają nasze czekolady i cukry, kołyszące się połyskliwie na gałęziach.

Potem oddaliśmy Atti wizytę w jej białym dziecinnym pokoiku. Zabawki jej miały tutaj swoje główne schronienie, ale wiele też lalek i pluszowych słoni mieszkało w innych pokojach.

Mieszkanie nadawało się do naszych zabaw, pełne schowków, wysokich mebli i miękkich otoman. W salonie stał murzyn z bronzu naturalnej wielkości, trzymający kandelabry, a nas przejmował lekkim lękiem.

Ocenialiśmy drzewko naszej towarzyszki z bezkrytycznym podziwem.

Co słychać teraz z tobą maleńka Atti? Czy wyrosłaś na wysoką przystojną pannę? Może kiedyś przejdę obok ciebie i naraz wyda mi się, że skądś tę młodą dziewczynę znam... skąd ja ją znam?...

Choinka Atti stała spowita w welony biało przeźroczyste, złota gwiazda świeciła się nad nią i nad nami.

Wiele jeszcze blasków może dać życie, ale nie będą one miały już nigdy tej jarzącej jasności, jakie siały światła choinek Bożego Narodzenia w serce, przejęte gorącą wiarą w moim dziecinnym dawnym świecie.

„FIN DE SIECLE" BALET ANGIELSKI NA DESKACH „FOLIES BERGERES". Fot. F. Fuerst, Paryż.



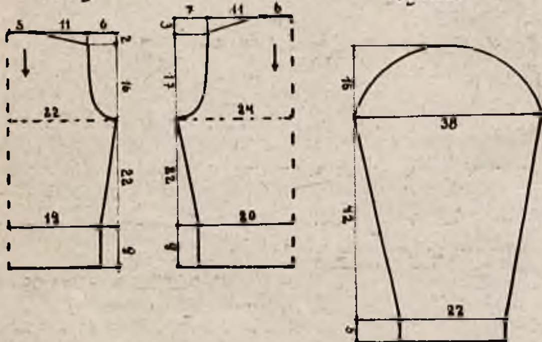


ZROBIĘ TO SAMA

Pullower NA DRUTACH



Na prawo: Pulower z ozdobnym karczkiem, wykonany na drutach.



Powyżej: Krój pleców, przodu i rękawa.



Na prawo: Próbka wzoru, jakim wykonany jest pullower.

Pullower, który widzimy na reprodukcji, składa się ze staniczka z karczkiem i rękawów. Staniczek i rękawy wykonane są innym ściegiem, niżeli karczek, który przedstawia się strojnie, gdyż użyto do niego ściegu z trzykrotnie zaplatanych warkoczyków, a ponadto przód jego ściągnięty jest w poprzek odmiennej barwy sznurkiem i związany na węzeł lub kokardkę.

Przed wykonaniem tego pulloweru, jak zresztą przed każdą inną większą robotą w technice drutowej, należy wzory przećwiczyć na małych próbkach, używając wełny tej grubości, jakiej użyjemy do całości roboty. Ścieg na staniczek i rękawy nie przedstawia większych trudności, ale nabranie wprawy w robocie najprostszego wzoru opłaca się sowicie z powodu pięknego wyglądu, który go zbliża do faktury materjału tkanego. Większej jeszcze wprawy wymaga wzór warkoczykowy, którym wykonamy karczek pullowera.

Wzór staniczka: 1 oczko wprost, 2 oczka nawywrót. Tak wygląda i drugi rząd roboty, przyczem stale na oczka wprost przychodzą oczka wprost, a na oczka nawywrót przychodzą oczka nawywrót, czyli rząd drugi przedstawia się jak następuje: 1 oczko nawywrót, 2 oczka wprost itd.

Zaczynając staniczek i rękawy przygotujemy sobie krój wedle podanych rysunków i na początek należy zrobić 9-centimetrowy pas: 2 oczka wprost, 2 nawywrót, przy rękawach pas ten wynosi 6 cm wysokości i stanowi manszet.

Wzór karczka: 1-szy rząd: 3 oczka na wywrót, 9 oczek wprost, 3 nawywrót, 9 wprost, 3 nawywrót, 9 wprost, 3 nawywrót.

2-gi rząd: 3 oczka wprost, 9 oczek nawywrót, 3 oczka wprost, 9 nawywrót, 3 wprost, 9 nawywrót, 3 wprost.

3-ci rząd jak 1-szy. 4-ty rząd jak 2-gi.

5-ty rząd: 3 oczka nawywrót. Przełożyć następne trzy oczka na trzeci drut i pozostawić podspodem roboty a przerobić wprost 3 następne oczka, po których powracamy do oczek na 3-cim drucie i te z kolei przerabiamy wprost. Tak powtarzamy trzy razy motyw przy użyciu pomocniczego drutu.

6-ty rząd jak 2-gi.

7-my rząd jak 1-szy.

8-my rząd jak 2-gi.

9-ty rząd: 3 oczka nawywrót, 3 wprost, 3 przesunąć na osobny drut, który pozostawiamy na wierzchniej stronie roboty. Tymczasem przerabia się wprost 3 oczka dalsze, leżące pod spodem, potem znów wprost 3 oczka na dodatkowym drucie i do końca rząd ten przerabia się trzy razy tak samo.

10, 11, 12 rząd: jak 2-gi, 1-szy i 2-gi.

W ten sposób dochodzimy do miejsca w robocie, gdzie widać już jak zaczyna się przeplatać warkocz u trzech pasem, które tworzą się z przesuwanych na dodatkowy drut oczek.

Mając wyćwiczony wzór karczka, możemy przystąpić do jego wykonania wedle przygotowanego wzoru. Krój przodu nie uwzględnia wycięcia na szyję, gdyż po przeciągnięciu w tem miejscu włóczkowego sznurka, uzyskujemy odpowiednio mały dekolcik.

Wszystkie części pullowera zeszywa się igłą krytym ściegiem. **Mewa.**

PRACOWNICY PUBLICZNYCH INSTYTUCYJ FINANSOWYCH — NA DOZBROJENIE ARMJI

W dniu 8-go grudnia b. r. odbyła się w Warszawie piękna i podniosła uroczystość przekazania lotnictwu wojskowemu wielkiego samolotu bombowego, ufundowanego ze składek pracowników publicznych instytucyj finansowych. Ten wspaniały dar jest pięknem ogniwem w ofiarnej akcji obywatelskiej sfer urzędniczych na cele obrony Państwa.



Samolot ofiarowany przez Zrzeszenie Pracowników Banków Publicznych.



Przedstawiciel Zrzeszenia Pracowników Banków Publicznych składa wieniec w Belwederze.



Marszałek Śmigły-Rydz wita się z prezesem PKO dr. H. Gruberem oraz prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego gen. R. Góreckim.

Kupuję prezent gwiazdkowy.

Najgorętszym okresem w życiu t. zw. „ojca rodziny" — i to „obarczonego" — jak się to mówi — licznemi pociechami, są święta Bożego Narodzenia. Trzeba wtedy pamiętać o wszystkich i o wszystkiem.

Przed świętami układa się zawsze długą listę członków rodziny i domowników i zastanawia się nad tem, coby im zrobiło przyjemność. Przeważnie dochodzimy do wniosku, że nic nie może tak ucieszyć wuja Stasia, jak nowy krawat, a dziadziowi szaloną przyjemność zrobi ciepły szalik. Frani kupuje się papier listowy. Mani chusteczki do nosa, Zosi laleczkę itd.

W tym roku postanowiłem zerwać z dotychczasowym szablonem.

— Precz z krawatami pod choinką — zawołałem — muszę się zdobyć na coś oryginalnego.

Poszedłem po rozum do głowy, a potem po radę do przyjaciela.

— Nie wiesz, co masz kupić na gwiazdkę... — powiedział przyjaciel — kup coś takiego, coby wszystkim jednocześnie sprawiło przyjemność....

— Hm... jeśli kupię nowy serwis na wódkę, to wprawdzie starsi będą mieli z tego przyjemność, ale co to może obchodzić dzieci...

— Kup coś takiego, co się podoba i dzieciom i starszym... coś u n i w e r s a l n e g o ...

To słowo „uniwersalny" utkwiło mi głęboko w pamięci. Chodziłem przez cały dzień po mieście i oglądałem wystawy gwiazdkowe, szukając „uniwersalnych" przedmiotów. Przez chwilę miałem ochotę kupić „uniwersalną encyklopedję", ale ostatecznie odstąpiłem od tego zamiaru, licząc się z pewnym procentem analfabetów wśród najmłodszego potomstwa.

Gdyby tak dzieciom kupić książeczki z bajeczkami, trąbki, bębenki, a żonie gramofon, a dziadziowi jakąś ciekawą książkę...

Nagle wzrok mój padł na pewną wystawę. Odrazu jaśniej mi się zrobiło na duszy.

— Oto droga dla mnie — zawołałem.

Po kilku minutach transakcja doszła do skutku.

— — — — — — — — — — — —

Nadszedł dzień wilji. Oświadczyłem uroczyście, że nareszcie wszyscy będą zadowoleni, gdyż dostaną jeden wspólny prezent, który zaspokoi wszystkie ich marzenia.

Otworzyłem drzwi do wielkiego pokoju,

Dokończenie na str 39-ej.

BOGDAN BRZEZIŃSKI U. S. A. **HUMORESKA**

WIELKA NIESPODZIANKA

Powyżej: — Od rana znoszą podarki od niego... — mówiła Mary. W głowie Joan powstał pewien plan...

Poniżej: — Spóźnił się już siedem minut — szlochała Mary — to zły znak! Z moim trzecim ślubem było to samo...

Czy wybierasz się na wystawę światową do Nowego Jorku?

To pytanie zadałem mojemu przyjacielowi Janowi, gdy siedzieliśmy w jego zacisznym gabinecie, pełnym pamiątek z jego licznych podróży po całym świecie.

— Mój drogi — odparł Jan — zapewne nieraz jeszcze odważę się polować na tygrysy w Indjach, na krokodyle w Egipcie, a może nawet odważę się przebyć samotnie Saharę, ale do Stanów Zjedn. nie pojadę już nigdy!

— Dlaczego? — zawołałem ze zdumieniem.

— U. S. A., to „Wielka Niespodzianka"... — odparł tajemniczo Jan.

— Bawiłeś tam dwa lata temu... — przypomniałem sobie. — Nie podzieliłeś się dotychczas swojemi wrażeniami...

— Chętnie się niemi podzielę, gdyż doprawdy miałem ich nadmiar! — odparł Jan z gorzkim uśmiechem. — A więc słuchaj...

— — — — — — — — —

Do Stanów Zjednoczonych wybrałem się w sprawach handlowych. Mianowicie koncern, w którym pracuję, postanowił produkować „grające maszynki do golenia". Był to wynalazek pewnego młodego inżyniera. Kombinacja radja z maszynką do golenia. W aparacie umieszczony był maleńki aparat bateryjny, funkcjonujący bez anteny. Wystarczyło przesunąć maleńki guziczek na jeden z dwunastu punktów skali, umieszczonej na rękojeści aparatu, a natychmiast odzywała się jedna z dwunastu najpopularniejszych radjostacyj... Odtąd golenie miało stać się najprzyjemniejszą rozrywką mężczyzn! Oczywiście, potrzeba nam było wielkich kapitałów. Porozumieliśmy się ze Stanami i prezes Hopkins, stojący na czele koncernu wielkich banków, zatelegrafował, że prosi o wysłanie do niego w tej sprawie przedstawiciela naszego koncernu... Wysłano mnie, ponieważ biegle mówię po angielsku. Możesz sobie wyobrazić, jak się ucieszyłem.

Do Stanów Zjednoczonych jechałem po raz pierwszy. Podróż upłynęła bardzo przyjemnie. Pogoda — wspaniała, towarzysze podróży — niezmiernie sympatyczne. Szczególnie bawił mnie pewien starszy jegomość, który jechał do Stanów po raz piąty i codziennie powtarzał mi monotonnym głosem: *Dhogi panie, niech się pan strzeże! Szczególnie phoszę mieć się na baczności przed Amehykankami! Oo, pan nie zna Amehhhykanek!...* Człowiek ten nie wymawiał litery „r". Uśmiechałem się łagodnie i oczywiście nic sobie nie robiłem z jego przestróg.

Nowy Jork zrobił na mnie olbrzymie wrażenie. Szczególnie Statua Wolności wzruszyła mnie do głębi.

— Szczęśliwi Amerykanie — myślałem — prawdziwie wolni ludzie w dzisiejszym smutnym świecie!...

Tak sobie pomyślałem, gdy schodziłem po schodkach z pokładu transatlantyku. Nagle jakaś młoda, bardzo ładna dziewczyna podbiegła do mnie i zawołała z entuzjazmem:

— Więc przyjechałeś, drogi kuzynku! — i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

U nas jest zwyczaj całowania się z młodemi, ładnemi kuzyneczkami, to też bez wahania postawiłem walizy na ziemi i chwyciłem nieznajomą kuzynkę w ramiona. Na jej świeżych, pąsowych ustach złożyłem serdeczny pocałunek: pomyślałem przytem ze wzruszeniem, że oto Europa wita się z Ameryką... Ale rychło moje poetyczne myśli wywietrzały mi z głowy, gdyż dziewczę spochmurniało momentalnie i zawołało z oburzeniem:

„Myśliwi" czekają już na stanowiskach.

— Jak pan śmiał! To skandal! Ojcze, czy widziałeś, na co się poważył ten obcy człowiek?!

Ojciec, siwo-łysy Amerykanin z cygarem, przytakiwał skwapliwie.

— Ależ pani mówiła, że jestem pani kuzynem... — powiedziałem oszołomiony.

— Pomyliłam się, a pan niecnie wykorzystał sytuację!...

— Jeśli pan nie chce posiedzieć w więzieniu za obrazę moralności, musi pan ożenić się z moją córką... — dodał ojciec.

— Musi pan! — potwierdził jakiś kibic w szary płaszczu.

Przyjrzałem się dziewczynie: ładna, zgrabna, młoda...

— O key! — zgodziłem się. — U nas w Warszawie też nabierają „na kuzyna", ale tam kradną portfele, a tu — wolność...

Ojciec i córka ustalili, że ślub nasz odbędzie się o szóstej. Zadzwoniłem do prezesa Hopkinsa. Oznajmił mi, że konferencja odbędzie się nazajutrz o drugiej po południu. Miałem więc cały dzień czasu!

— Droga Mary — spytałem narzeczoną — dlaczego mnie schwytałaś w pułapkę? Czy doprawdy — hm — tak bardzo ci się podobam?

— No, nie przesadzajmy — odparła Mary z uroczym uśmiechem. — Poprostu: nigdy jeszcze nie byłam żoną Europejczyka!

— Miejmy nadzieję, że Europejczyk będzie twoim ostatnim mężem — odparłem surowo.

W każdym razie postanowiłem przedstawić Europę i Europejczyków w jak najlepszem świetle. Udałem się więc do wielkiego magazynu, gdzie nabyć można wszystko, od szczoteczki do zębów, aż do zębów sztucznych włącznie i wybrałem kilkanaście efektownych podarków. Te podarki kazałem posyłać co 15 minut do mieszkania Mary... Około trzeciej moją narzeczoną odwiedziła jej przyjaciółka, Joan.

— Zakładasz sklep? — spytała, oglądając ze zdumieniem stosy paczek.

— Nie, ale zaręczyłam się z pewnym Europejczykiem. Od rana znoszą podarki od niego — odrzekła Mary. Wtedy w główce Joan powstał pewien plan... Pożegnała szybko Mary i zadzwoniła do mnie.

„Mam ręce związane... włóczką" — myślał prezes Hopkins z cierpkim humorem...

— Musi pan zobaczyć się ze mną — powiedziała. — Mam dla pana rewelacyjne wiadomości.

Spotkaliśmy się w aptece, gdzie podawano najlepsze zakąski i doskonałą wódkę.

— Pan nie może ożenić się z Mary — mówiła Joan.

— Wykluczone! Jeśli się nie ożenię, pójdę do więzienia...

Powyżej: — Mów do mnie pani! — zawołała Mary — Pani ukradła mi szczęście! Ty podła!...

Poniżej: Epilog tych dziwnych przygód rozegrał się na statku...

— Za ten jeden głupi całus? Oh, może pan łatwo uniknąć tej ostateczności. Niech pan spyta starego Smitha, jej ojca, co przechowuje w nogach swojego biurka... Oczywiście nie przyzna się, że opjum i kokainę, ale skłoni Mary, żeby zrezygnowała z pana...

Po chwili dodała z zalotnym uśmiechem:

— Pan ożeni się ze mną! Na złość tej głupiej, zarozumiałej Mary!

— A jeśli nie zechcę? — odparłem zaczepnie.

— Nie?... Hm, mój papa jest właścicielem 18 dzienników... Jeśli pan będzie robił głupstwa, to jeszcze dziś w wieczornych wydaniach czytelnicy dowiedzą się, że pan jest największym bandytą starego świata, wrogiem Europy nr. 1, który przybył do Stanów na gościnne występy... Już poleciłam reporterom, żeby porobili pańskie zdjęcia... Niech pan wyjrzy, proszę... Wyjrzałem: w bramie naprzeciwko „myśliwi" czekali już na stanowiskach.... Zadrżałem! — Ależ to nieprawda, to szantaż! — zawołałem.

— Nie: to U. S. A.! — odparła Joan, wzruszając ramionami.

O szóstej miał się odbyć mój ślub z Mary. Siedem po siódmej Mary zaszlochała:

— Spóźnił się już siedem minut! To zły znak... Z moim trzecim ślubem było to samo: George spóźnił się z powodu zderzenia samochodów i ożenił się ze swoją ofiarą!...

Nazajutrz rano przyjaciółki spotkały się u krawcowej.

— Wiesz, ten Europejczyk zapomniał o swoim ślubie — zawołała z oburzeniem Mary. — Co ty na to?

— Lepiej zapytaj go, co o n na to. Zadzwoń do niego — zaproponowała Joan obojętnie.

Dokończenie na str. 39-ej.

RYSUNKI „ESQUIRE"

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z DROBIU Z PULPETAMI. 25 dkg mięsa wolowego i pół dużej kury gotuje się w potrzebnej ilości osolonej wody z włoszczyzną. Kiedy mięso odstaje już od kości tak, że można je obrać, scedza się czysty rosół i odstawia, aby ostygł, mięso zaś z kury obiera się z kości i miele wraz z kawałkiem namoczonej w mleku bułeczki. Zmielone mięso miesza się z 1—2 żółtkami utartemi z łyżką masła, dodaje pianę ubitą z białek, kontroluje, czy dość słone i formuje z tej masy małe kulki lub wałeczki, które się rzuca na wrzącą wodę, a kiedy spłyną na wierzch, wyjmuje się je wprost do wazy. Rosół, z którego po ostudzeniu należy zebrać cały tłuszcz, podgrzewa się silnie i wlewa na pulpety w wazie.

DWUKOLOROWA SAŁATA Z KAPUSTY. Główkę białej włoskiej kapusty kraje się cienko, zagotowuje raz, odlewa z wody i odstawia. Główkę czerwonej kapusty pozbawia się wszystkich grubszych szypułek, następnie skrajaną drobno, zalewa się wrzącą wodą i gotuje przez 10 minut. Odcedzoną z wody kropi się octem, aby jej przywrócić pierwotny czerwony kolor, miesza z paru łyżkami oliwy, dodaje troszkę soli i cukru oraz, o ile jest lubiany, kminku. Białą kapustę miesza się z sosem majonezowym, sporządzonym z surowych lub gotowanych żółtek, zmieszanych z oliwą dolewaną kroplami, oraz paru łyżek octu, szczypty soli, cukru i białego pieprzu. Sałatkę czerwoną umieszcza się na środku salaterki, dookoła daje się białą, tworząc pierścień biały. Sam szczyt sałatki przybiera się twardem jajem, pokrajanem w cząstki, z których układa się kwiat, imitujący duży rumianek, którego żółty środek stanowią posiekane drobno żółtka. Sałatka przyrządzona musi stać w chłodzie godzinę przed podaniem.

INDYK Z FARSZEM WĄTRÓBKOWYM. Indyka, odleżałego w soli przez 5—8 dni, przygotowuje się do pieczenia w ten sposób: nasamprzód wymywa się go z soli i obsusza dokładnie z wody serwetą. Następnie napełnia się podgardle aż po pierś farszem (przepis na farsz podaję poniżej), zaszywa otwór górny, a pierś i dolne odnóża, o ile indyk nie jest tłusty, okłada się płatkami słoniny i umocowuje je nitką. Bardzo młodego indyka układa się na brytwance na podłożonem maśle i piecze przy częstem polewaniu przez 1—1½ godziny. Ponieważ jednak nie zawsze jest łatwem wyznać się co do wieku tego ptaka, pewniejszem będzie podgotować go naprzód, t. zn. w miejsce masła dać do brytwanki gorącej wody, włożyć indyka, nakryć szczelną pokrywą i gotować na blasze aż zacznie kruszeć. Wtedy odlewa się rosół z pod niego, daje na to miejsce masła i wstawia do gorącego piecyka, gdzie się dopiecze i pięknie zrumieni, o ile będzie pilnie smarowany masłem i tłuszczem zebranym z rosołu, który można użyć na zupę. Upieczonego indyka należy przed krajaniem dobrze przestudzić, aby sok w mięsie równo się rozdzielił i nie wypływał przy krajaniu. Odnosi się to zresztą do każdego pieczystego, a nawet każdego prędkiego mięsa. — Farsz, którym mamy napełnić podgardle indyka, sporządza się z 25—30 dkg wątróbki cielęcej, którą należy zemleć wraz z wątróbką indyczą. 2 żółtka uciera się z 5 dkg masła, dodaje soli, pieprzu, troszkę gałki muszkatułowej, zmieloną i przefasowaną przez sito wątróbkę, troszkę w drobną kostkę skrajanej młodej słoninki, dwie łyżki tartej bułki, oraz pianę z 1 białka. Podgardla nie należy bardzo wypełniać, gdyż silnie narasta w pieczeniu i skóra łatwo mogłaby popękać. Przed krajaniem pieczystego należy podgardle dobrze wystudzić, wtedy będzie można uzyskać gładkie plastry, któremi dekorować można półmisek lub zgoła podać jako osobne danie.

TORT PONCZOWY. 30 dkg najlepszej ogrzanej mąki miesza się z wyrośniętym rozczynem z 3 dkg drożdży i 3/4 szklanki letniej śmietanki. Inne dodatki są: 3 żółtka utarte do białości z 15 dkg cukru, pół filiżanki topionego masła i spory kieliszek araku; nie należy też zapomnieć posolić troszkę. Ciasto należy wybijać przez 45 minut, raczej dłużej, niż minutę krócej (taki jest przepis! nie uda się inaczej!). Forma na ten tort jest specjalna, t. zn. wieńcowa, naciera się ją dokładnie masłem i napełnia do połowy ciastem. Po wyrośnięciu do pełna formy, wstawia się ciasto do gorącego piecyka i piecze jak każde ciasto drożdżowe. Upieczone wyrzuca się na sito, a po przestudzeniu polewa się już na talerzu esencją ponczową, umieszaną z rumu, wina, likieru Maraschino i syropu cukrowego, z wszystkiego po kieliszku. Wolny środek tortu wypełniany bywa czasem (nie musi to jednak być) bitą śmietanką lub sałatką owocową, złożoną z pomarańcz, bananów, dobrego jabłka, parzonych migdałów, rodzynków bez pestek, daktyli w dowolnej ilości. Drobno pokrajane owoce, kropi się likierem i łączy paru łyżkami suchej kremówki, miodu, lub soku owocowego.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Jakże często, mimo wprawy i uwagi, nie da się z flaszki wyciągnąć korka, który tonie w jej zawartości. Zazwyczaj pozostawia się go aż do wypróżnienia płynu i przy pomocy nitki z trudem korek wydostaje się na wierzch. — Tymczasem „korko-łowca", który widzimy na naszem zdjęciu, ratuje korek i bez trudu wydobywa go na wierzch, gdy tego zajdzie potrzeba.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 53 — **Grudzień** — 31 dni

NIEDZIELA **25** Narodz. Chryst.	Zupa z drobiu z pulpetami. Ryba w majonezie na muszelkach. Indyk z dwukolorową sałatą. Kompot. Tort ponczowy. Ciasta. Owoce. Kolacja: Zając w auszpiku z sałatą włoską.
PONIEDZ. **26** Szczepana męcz.	Barszcz z pasztecikami. Budyń rybny. Ozór peklowany z makaronem. Kompot. Torty, ciasta, owoce. Kolacja: Comber sarni z sałatą.
WTOREK **27** Jana ew.	Zupa grzybowa. Naleśniki z mięsem. Potrawka z zająca tzw. Ciret z kluseczkami. Budyń z czerstwej strucli. Kolacja: Pasztet zajęczy z sosem tatarskim.
ŚRODA **28** Młodzianków m.	Zupa pomidorowa czysta z ryżem. Omlety z szpinakiem. Polędwica po angielsku z jarzynami. Kompot mieszany. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.
CZWARTEK **29** Tomasza b.	Krupnik na grzybach. Kapuśniaczki. Pieczeń na dziko z makaronem i buraczkami. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Faszerowane nóżki cielęce.
PIĄTEK **30** Dawida, Eug.	Barszcz zabielany z twardem jajem. Rizotto z groszkiem zielonym. Liny duszone w śmietanie z sardelami. Tarte ziemniaczki do ryby. Legomina z makaronu wypiekana. Kolacja: Jaja twarde w sosie śmietanowym.
SOBOTA **31** Sylwestra p.	Grzybówka z płatkami. Marynowane śledzie. Kotlety jarzynowe lub cielęce. Kompot. Kolacja Sylwestrowa: Bulion z jajem w filiżankach. Ostre kanapki. Pularda pieczona z krokietami i sałatą majonezową. Bukiet z jarzyn. Tort ponczowy płonący. Owo[illegible]

HOCKI KLOCKI

Rozwiązanie z Nru 50-go.

ROZWIĄZANIE PROBLEMU BRYDŻOWEGO:

Przebieg gry

1) A: as karo, X: walet, B: 2, Y: 3,
2) A: 4 pik, X: 2, B: walet, Y: 9.
3) B: król trefl, Y: 7, A: król pik (!), X: dama trefl.
4) B: 8 pik, Y: 5 karo, A: 5 kier, X: 5 pik,
5) B: 6 pik, jeśli Y zrzuci damę karo, A zatrzyma 10 karo, jeśli Y zrzuci 9 kier, A zatrzyma wszystkie trzy kiery i X, który bierze lewę na 7 pik, musi wyjść jednym z trzech małych kier.

Oczywiście, że zrzucenie 7 pik przez X w czwartej lewie daje stronie A—B odrazu brakującą lewę na 6 pik.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

„POKRZYWA", PODEJRZANY TYP.

„Pokrzywa", podejrzany typ, został wczoraj zatrzymany przez policjanta, gdy kręcił się w okolicy Dworca Głównego. Oburzony „Pokrzywa" wyjaśnił, że właśnie dziś rano przyjechał do Warszawy z Miłosnej, dokąd zresztą wraca następnym pociągiem, że bilet powrotny już ma, ale że przecież jeszcze pociągu niema na stacji, no i że wreszcie każdemu wolno spacerować koło Dworca Głównego.

— Przeszukam wam kieszenie i zobaczymy, co tam znajdziemy — rzekł policjant.

— Niech pan szuka, jeśli się panu chce — zgodził się chętnie wymowny „Pokrzywa".

Policjant opróżnił mu kieszenie. Znalazł tam 5 zł. 35 gr., zwyczajny klucz od drzwi, ołówek, stalówkę, 3 guziki, talję kart i sznurek.

— To wszystko? — spytał policjant.

— Tak, to wszystko — odparł „Pokrzywa"

— Nie macie wytrychu, rękawiczek?

— Ale skądże! — zawołał znowu oburzony „Pokrzywa".

— Wobec tego możecie sobie pójść — rzekł policjant. Ale gdy już „Pokrzywa" zniknął w tłumie, policjant spostrzegł, że nie zachował się zbyt inteligentnie i że winien był go zatrzymać. Dlaczego?

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 25 grudnia.

9.00 Kolędy na organach w wyk. F. Nowowiejskiego.
10.00 Transmisja uroczystego nabożeństwa z Katedry na Wawelu w Krakowie.
12.03 Muzyka symfoniczna.
16.30 „Z kolędą przez Podhale" — audycja z Krakowa.
19.00 Fragment z oratorjum „Boże Narodzenie" Lorenzo Perosi'ego. Transm. z Watykanu.
20.50 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej.
22.00 „Pastorałki kaszubskie" — audycja z Torunia.
23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 26 grudnia.

10.00 „W 20-lecie Powstania Wielkopolskiego"; nabożeństwo, poświęcenie sztandarów oraz wręczenie odznaki Powstańców Wielkop. Panu Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi.
12.03 Poranek symfoniczny z Wilna.
16.40 „O narodzeniu Chrystusa Króla" — misterjum z XVII w.
17.25 Recital fortepianowy Zbig. Drzewieckiego.
19.00 „Wieczna tęsknota", operetka Grothego.
21.05 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla.
21.20 „Do słuchu i do tańca" — koncert rozrywkowy.

Wtorek, 27 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.30 Pieśń o ziemi naszej — fragmenty z kantaty.
17.10 „Ojców swoich szlakiem" — aud. literacko-muzyczna.
20.00 „Straszny dwór" opera Moniuszki, transm. z Teatru Wielkiego w Poznaniu.
W przerwie ok. godz. 21.52 „Cyklon", powieść mówiona Goetla.

Środa, 28 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Katowic.
17.15 „Reportaże z baletów: Teatr Łazienkowski w Pomarańczarni".
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Z. Grzybowskiego.
21.30 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla.
22.00 Folklor różnych narodów: kolędy — aud. muzyczna.

Czwartek, 29 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa.
16.20 Recital organowy Jana Kucharskiego — trans. z Konserwatorjum Warszawskiego.
17.00 Z paryskich wspomnień o Chełmońskim — feljeton.
17.40 Kolędy na kwartet smyczkowy — koncert ze Lwowa.
21.30 Pieśni Bożego Narodzenia, Piotra Corneliusa.
21.45 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla.
22.00 „Najpiękniejsze kwartety klasyków wiedeńskich".
23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, 30 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Katowic.
17.10 Ryszard Strauss: Kwartet fortepianowy c-moll.
19.10 „Przegląd piosenek z roku 1938" — lekka audycja muzyczna.
21.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla.
21.15 Koncert symfon. z Filharmonji Warsz.
22.30 „Artur Schopenhauer" — odczyt.

Sobota, 31 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi.
16.35 Robert Schumann: „Karnawał" — wykona na fortepianie Ignacy Dygat.
17.00 Nabożeństwo na zakończenie „Starego Roku" z Krakowa.
19.15 Na wesoło pod jemiołą — koncert rozrywkowy.
21.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Goetla.
21.15 „Kalejdoskop sylwestrowy".
23.59 Powitanie Nowego Roku.
24.05 Muzyka taneczna.

Dokończenie ze str. 35-ej

gdzie jarzyły się już świeczki na choince.

Z pokoju popłynęła kolenda.

— Co to — zawołała Mania — kolendują... przecież tam nikogo niema.

Dzieci i starsi hurmem wpadli do pokoju. Pod choinką — stał aparat radjowy.

— Widzicie, macie tu i bajki i muzykę i ciekawe opowiadania, to wam zastąpi wszystko...

Rodzina była zachwycona. Rzeczywiście, każdy znalazł coś dla siebie w bogatym programie ogólnopolskim i lokalnym. Radjo grało od rana do nocy.

Aż nadszedł dzień moich imienin. Dzieci przyszły zapytać się, czem mogłyby mi zrobić przyjemność...

— Hm... dzieci... a możebyście tak tatusiowi raz na imieniny pozwoliły na kwadransik zamknąć radjo.

To żona się na mnie rzuciła i powiedziała:

— Samolub jesteś... wróg muzyki... wróg kultury...

Więc zamilkłem — a w duchu przyznałem jej rację. Radjo jest od tego, żeby grało. **Z. Grotowski.**

Dokończenie ze str. 37-ej.

— Och, już ja go urządzę!... — zawołała Mary i zadzwoniła do mnie.

— Moje dziecko — powiedziałem swobodnie, nauczony przez Joan — namyśliłem się. A poza tem: spytaj swojego tatusia, co przechowuje w nogach swego biurka?...

— No i cóż, droga Mary? — spytała Joan.

— Mów do mnie p a n i! — zawołała Mary. — Pani ukradła mi szczęście! T y podła!...

O drugiej odebrałem telefon od prezesa Hopkinsa.

— Musimy odłożyć konferencję, drogi panie — rzekł prezes. — Mam związane ręce...

— Jakto, nie może pan prezes zdecydować się?

— Nie, mam związane ręce... włóczką. Mojej córeczce grozi porwanie przez kidnaperów i detektywi prywatni radzili, żeby pozostała z tydzień w domu. I moja Ellen z nudów zabrała się do roboty sweterków włóczkowych na gwiazdkę dla biednych. Mnie zaangażowała do trzymania włóczki... I każe opowiadać sobie bajki. Od czasu, jak grozi jej porwanie przez porywaczy dzieci — zupełnie zdziecinniała! Więc tę naszą konferencję odłożymy na kilka dni...

Ledwie skończyłem rozmowę z prezesem, zapukano do drzwi mego pokoju hotelowego. Wszedł starszy, miły gentleman.

— Pan chce żenić się z Joan? — powiedział. — Wykluczone, drogi panie! Jestem ojcem jej narzeczonego... Pozwoli pan: szef policji Pocker... Jeśli pan ożeni się z Joan, oskarżę pana o morderstwo z premedytacją i będzie pan miał brzydki proces. Właśnie poszukujemy człowieka, który zamordował pewnego bankiera...

W pierwszej chwili chciałem zamordować na dokładkę szefa policji Pockera, w drugiej chwili chciałem wyskoczyć przez okno — ostatecznie jednak zabrałem się do pakowania rzeczy.

— Wyjeżdżam — postanowiłem. — Muszę uciec, jeśli nie chcę oszaleć!

Tegoż dnia znalazłem się na pokładzie okrętu. I tu rozegrał się epilog moich przedziwnych przygód. Ujrzałem uroczą młodą dziewczynę.

— Pan musiał mieć straszne przeżycia — powiedziała łagodnie. A wtedy rozpłakałem się, jak dziecko i powiedziałem jej, że ją kocham i że już mi wszystko jedno: mogę nawet ożenić się z nią.

Odparła, że zgadza się, prosiła tylko, żebym jej opowiedział swoje przygody. Gdy jej opowiedziałem wszystko dokładnie, Norma (tak jej było na imię) wyznała szczerze:

— Nie chcę pana dłużej zwodzić. Jestem literatką. Mieszkam w Nowym Jorku. Wybrałam się na połów wrażeń. Z pańskich przygód napiszę pyszną książkę p. t. „Europejczyk w młynie U. S. A.". Oczywiście — nie mam zamiaru wychodzić za pana. Rozstańmy się, jak para przyjaciół...

Trzy razy zaręczony, wróciłem do kraju z potarganemi nerwami, bez kontraktu z prezesem Hopkinsem!...

— Widzisz, — kończył Jan — tak wygląda w moich wspomnieniach U. S. A. — kraj Wielkiej Niespodzianki!

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1



…lacy w Japonji … dawno po wilji… (godz. 2-… nocy).

Polacy w U. S. A. przygotowują się … wilji (godz. 12-ta w południe).

…dy w Polsce za-siadamy do wilj… …est godzina osiemnasta…

…Wielu z nas, przeby…jących stale w kraju, … krewnych, przyja…ł, lub choćby znajo…ch wśród rodaków, …rzy stale lub czaso… mieszkają w róż…ch częściach świata. …iadając do wigilij… wieczerzy o godzi… 18-tej — w chwili, … dzielimy się opłat…m z najbliższymi, ży…c im szczęścia i po…ślności, myśl nasza …gnie w dalekie kra… do tych krewnych …rzyjaciół, z którymi …zą nas nierozerwal… nici wielkich uczuć. …wówczas rzadko kie… zdajemy sobie spra… z tego, że ten ktoś, …eszkając np. w Ja…nji jest już od 8 go…n po wilji, bo tam …wno noc, godzina 2-a. …ś inny, przebywając … Nowym Jorku, spo…żywa dopiero po… śniadanie, bo tam jes… godz. 12-ta w połud… Inny znów, dajmy … to na Alasce, przeży… już noc po wilji i … je o 6-tej rano już … pierwszym dniu świą… a ktoś czwarty, mies…kając w Szanghaju, w… biera się właśnie … Pasterkę o 24-tej w … cy. W ten sposób m…glibyśmy wymienić … szcze wiele podobny… sytuacyj, biorąc po… uwagę różne długo… geograficzne. Ale mim… że dzielą nas nieraz … brzymie przestrzeni… stwarzające te różni… czasów, zapominamy … tem i zdaje nam się, … wszyscy ci, o który… myślimy, przeżywa… równocześnie z nami … dosne chwile, śląc … życzenia i odbier… nasze.

J. L.

…iżej: Będąc na Grenlandji Polacy zasiedliby do wilji dopiero za 4 godz…

Poniżej … lacy na Madagaskarze cotylko wsta… od … eczerzy wigilijnej… (godz. 20-ta).